Zaślubiny Marji Wessłowej.

WSPOMNIENIA RODZINNE.

(Dalszy ciąg).

Przy wysiadaniu, Marja i starostwo przyjęci byli przez oczekującego ich królewica, otoczonego licznym pocztem dworzan, oraz przybyłemi z Wiednia, jenerałem Starembergiem i kapucynem ojcem Ferdynandem. Rzuciła się Marja do nóg spowiednika ojca swego, sędziwego, siedmdziesięcio - letniego starca, który jéj przywiózł relikwje, przez ojca świętego poświęcone, a będące kiedyś w posiadaniu jéj matki.

Następnego dnia rano, konsul austrjacki rezydujący w Gdańsku, przedstawił się Marji i wręczył jéj w obec starostwa list, z czterema wielkiemi ukoronowanemi pieczęciami. Gdy otworzyła go, zdziwiona i drżąca, poznała pismo królewicowéj Jadwigi-Eleonory. Poczęła zaraz przebiegać treść jego. Po długim, niezrozumiałym i krętym wykładzie dobrodziejstw, któremi obsypała dawną swą pannę dworską i po wykazaniu praw księcia Jakóba do jéj opieki, zaklinała ją księżna, aby ślubów z królewicem

nie zawierała, a przynajmniéj pozwoliła na zawarcie związku tak zwanego *z lewéj ręki*, któryby wymaganiom spowinowaconych z nią (Jadwigą Eleonorą) rodzin panujących i etykiecie zadosyć uczynił. Wrazie powolności, ofiarowała jéj królewicowa na summach rodziny Sobieskich, w Paryżu lokowanych, 200,000 liwrów, z których połowa na dzieci, a połowa na wieczystą własność przypaść jéj miała. Kończyła list pogróżką, lubo bardzo w grzecznych wyrazach wyrzeczoną, że łatwo będzie księciu Jakóbowi wyjednać u Stanów Rzeczypospolitéj, sekwestr na dobrach księcia Konstantego, w obrębie kraju położonych, gdyż książę ten, pobierając jako królewic polski, alimenta ze skarbu publicznego polskiego, nie jest mocen wchodzić w związki małżeńskie, bez pozwolenia sejmu; że zatém z tém małżeństwem, dumie szlachcianki polskiéj schlebiającém, zawitać może *nędza*, źle wyglądająca przy królewskiéj purpurze.

Marja przeczytała list z uwagą, a kładąc go na stole: czy jesteście umocowani, rzekła z godnością do konsula, odebrać moją odpowiedź na to pismo?

— Tak jest, czekam na nią.

— Powiedźcież więc tym co was przysłali, że kocham królewica i przyjmuję dar jego ręki, ale przyjmuję go w obec świata, jak w obec Boga; nie chcę, aby obce nazwisko i tajemnica pokrywały związek, mający mnie z nim połączyć; nie idzie mi o tytuły, ale o nazwisko żony, wyższe nad wszystkie dostojeństwa. Podziękujcie królewicowéj za jéj dary, przygotowaną jestem na wszelkie zmiany losu i mam nadzieję w Bogu, że gdy przyjdą, zniosę je z odwagą i pokorą chrześcijańską.

Odebrawszy taką odpowiedź, konsul nisko się skłonił i wyszedł.

Nadszedł dzień ślubu, który miał się odbyć wieczorem w kaplicy pałacu królewica. Tegoż dnia zrana po powrocie narzeczonych z kościoła, gdzie przystępowali do Sakramentów Świętych, Marja poszła przebrać się do swego pokoju, do którego po chwili wszedł starosta, trzymając w ręku arkusz papieru urzędowemi pieczęciami opatrzony.

— Przynoszę—rzekł—akt, przez który królewic przyznaje wam być dłużnym *sto tysięcy talarów pruskich*, które wam zabezpiecza na wszystkich dobrach swoich, a mianowicie na kluczu Żółkiewskim. Nadto królewic czyni was panią dożywotnią całego swego majątku ruchomego i nieruchomego, jaki posiada w chwili zawarcia małżeńskich związków, lub jakiby na przyszłość posiadał, zastrzegając, że naturalni sukcessorowie po śmierci jego, dopókąd żyjecie, żadnego prawa do nich mieć nie mogą i nie będą.

Marja dosłuchała długiego tego wywodu, wzięła papier w rękę, z uwagą go odczytała i za wszelką odpowiedź bratu, na dwoje rozdarła. Gdy zdziwiony starosta zapytał o powód takiego czynu? — Nie wstydziliście się przyjmować tego aktu — zawołała—i to w obec okoliczności, w których się oboje znajdujemy. Czyż nie widzicie, że honor domu naszego nakazuje mi obowiązek nie przyjęcia daru, który przyniósłby za sobą pomówienie mnie o chciwość i interesowność. Powiédźcie królewicowi, że dar jego ręki jest jedyném dobrem, które od niego przyjąć mogę. Gdybym miała nieszczęście go przeżyć, majątek pozostawiony mi przez dobrego naszego ojca, będzie dla mnie aż nadto wystarczający.

Na te słowa, starosta uściskał siostrę z rozczuleniem, pochwalił jéj serce i zasady, przedstawił wszakże, że królewicowa polska, dla utrzymania godności domu królewskiego wielkiego państwa, który niegdyś z chwałą panował, powinna mieć większe dochody jak starościanka Wesslówna. Dla tego radzę wam jako brat starszy i przyjaciel, abyście dożywocie majątków królewica przyjęli, zrzekając się wszelkich zapisów na własność.

Marja po długiém jeszcze wahaniu się, przyjęła radę brata i upoważniła go do wszelkich prawnych w jéj imieniu czynności.

Ułożył starosta projekt intercyzy, w któréj przyszli małżonkowie na swych majątkach ruchomych i nieruchomych, zastrzegają sobie wzajemne prawo dożywocia. Układ ten nie był w żadnym razie ze szkodą królewica i jego spadkobierców, gdyż starosta wykazał tak w kapitałach na dobrach ziemskich zapisanych, jak w urzędowych skryptach oraz klejnotach, majątku osobistego Marji około siedmdziesiąt tysięcy

dukatów, bardzo znacznéj w owym czasie summy. Józefat pospieszył z swoim projektem intercyzy do królewica, który mocno zmartwiony odmówną odpowiedzią narzeczonéj przyjęcia zapisu na własność, napróżno starał się zmienić jéj decyzję. Ze swéj strony, aby nie obrazić Marji i jéj brata, przyjął zapis dożywocia na majątku żony. Zapisy te były sporządzone w dwóch osobnych aktach.

Dla okazania ówczesnego stylu i form prawnych, przepisujemy tu dosłownie jeden z tych aktów:

„Ponieważ za ordynacją Boską, która sercem ludzkiém rządzi, do przejrzanych i zamierzonych od siebie terminów, mocno nakłania i łagodnie kieruje, weszliśmy w stan święty małżeński z Jaśnie Wielmożną Jejmość panną hrabianką Wessel, teraźniejszą najmilszą małżonką naszą, życzymy sobie jako najprzyjemniejszym miłości dowodem do wspólnie okazanego affektu, też Najjaśniejszą Małżonkę naszą obligować, dla tego idąc zwyczajnym prawa pospolitego torem, dajemy i niniejszym skryptem przy zupełnéj uwadze i zdrowym rozsądku zapisujemy, téjże Najjaśniejszéj Małżonce naszéj, na wszystkich dobrach naszych nam wedle wspólnego działu między Najjaśniejszemi królewicami Jchmościami braćmi naszemi uczynionego, przypadłych, to jest na mieście Żółkwi i wszelkich włościach do tego klucza należących, na dobrach stojących i ruchomych, teraz i na potém mianych, przez cessje albo sukcessje na nas spadających, tudzież i na summach naszych w Paryżu będących [1]). dożywocie, bez wszelkiéj ekcepcji i kontradykcyi. Nie wątpiemy o wrodzonéj ku nam miłości Najjaśniejszych Królewiców Jchmościow kochanych braci naszych, że w tém woli naszéj, którą w téj rekognicji wyrażamy, sprzeciwiać się nie będą i owszem braterską aplikacją swoją do utrzymania prawa dożywocia tu wyrażonego, téjże małżonce naszéj dopomogą i one (o co prosiemy), konserwować zechcą. A że na fundamencie konstytucji sejmowéj, wszelkie nasze tranzakcje i zapisy, lubo nie według formy kancelarji grodowéj czynione, walor prawa i autentycznéj inskrypcji, tak jakoby w grodach albo ziemstwie zeznane były, mają, tedy tę naszą rekognicją, trzema egzemplarzami: polskim na dobra w Królestwie Polskiém zostające, francuzkim na summy w Paryżu lokowane, łacińskim na wszystkie *generaliter* dobra kędykolwiek i w jakiejkolwiek cenie i ma-

[1]) Oto jest pochodzenie tak zwanych summ paryzkich, własnością rodziny Sobieskich będących: Królowa Kazimiéra po pojednaniu się z księciem Jakóbem, prosiła księcia de Polignac, posła francuzkiego, aby wspierał wpływami swemi kandydaturę syna jéj do tronu. Przebiegły francuz, który miał w tajemnych instrukcjach swoich, kierowanie krewnego swego monarchy, księcia de Conti do korony, namówił królowę, aby dwóch młodszych synów Aleksandra i Konstantego wysłała do Paryża, pod pozorem, że mogą osobami swemi przeszkadzać wyborowi. W celu zaś ogołocenia królowéj z potrzebnych do utrzymania syna na tronie pieniędzy, podstępnie namówił ją, ażeby powierzyła książętom do umieszczenia w Paryżu 3,000,000 liwrów, niesłychaną w owym czasie summę. Tym sposobem będzież Wasza Królewska Mość miała—dodał—na każdy wypadek pewny sposób przyzwoitego i stosownego do swego dostojeństwa utrzymania się. Rzeczywiście nie brakło ani królowéj, ani jéj synom, w żadnym czasie na ogromnych dochodach, ale Francja zyskała wielkie nadzieje dla swego kandydata, przez odebranie tym sposobem funduszów, które w ręku Marji Kazimiéry, mogły skutecznie się przyłożyć do elekcji księcia Jakóba. Królewice Aleksander i Konstanty wyjechali ze skarbami matki 5 Października z Warszawy na Gdańsk i Berlin do Paryża; 25 Listopada przyjęci byli prywatnie przez króla w Wersalu, poczem znaczną część summy przywiezionéj z Polski, zabezpieczyli na funduszu poczt, co im zapewniło rocznego stałego dochodu 150,000 liwrów. Korzystali z tego książęta, aby na wielką skalę otworzyć dom swój w Wersalu; dawali wielkie przyjęcia, a w karnawale urządzili bal, którego przepychem, zadziwili nawyknięty do przepychu dwór Ludwika XIVgo. Oryginalnością tego balu, była kirem wybita sala balowa, na znak niby żałoby po ojcu. Manifestacja ta była śmieszną, gdyż kto się smuci, balów nie daje. Ale gdy tak młodzi książęta zabawiali dwór Wersalski, Polignac w Warszawie nie tracił czasu i pracował za kandydaturą księcia, którego dobrodusznie dzieci Sobieskiego na swe przyjęcia zapraszali. Z korrespondencji wszakże ówczesnych oczywistém było, że Ludwik XIVty innemi planami i widokami zaprzątnięty, bądź przez pamięć dawnéj dla Jana IIIgo i Marji Kaźmiéry przychylności, bądź dla braku brzęczącéj monety, bardzo słabo intrygi posła swojego w Warszawie wspierał, a późniéj nawet zaniechał ich zupełnie. *(Przyp. Aut.)*

terji będące, dla skuteczniejszego woli naszéj dowodu wyrażoną takowéj wagi mieć chcemy, jakoby przed aktami autentycznemi zeznana była — dla tego onęż ręką naszą podpisujemy i pieczęcią stwierdzamy, i do ksiąg grodzkich lub ziemskich, jeżeli tego potrzeba będzie, podać i one wciągać zezwalamy“.

Działo się w Gdańsku dnia 19 miesiąca Listopada, roku pańskiego 1708.

„*Konstanty Królewic polski.*“

Tu następują łacińskie podpisy i stwierdzenia różnych władz tak miejscowych jak i kancellaryjnych Rzeczypospolitéj.

Akta te spisane zostały, w godzin dwadzieścia cztery po obrzędzie kościelnym.

Dnia 18 Listopada, w dzień sobotni, ojciec Ferdynand pobłogosławił uroczyście związek dożywotni królewica Konstantego z Marją, która stosownie do objawionéj woli swego małżonka, wraz z tytułami jego przybrała miano Marji-Józefy, tak więc ją odtąd zwać będziemy. Królewic przez uprzejmość dla rodziny z którą się łączył i uszanowanie dla praw szlachty polskiéj, kazał w liczbie przyborów do ozdoby kaplicy służących, umieścić połączone herby domu królewskiego Sobieskich, z klejnotem rodziny Wesslów, niemniéj kazał wyrznąć podwójną pomienionych herbów pieczęć, którą się do śmierci posługiwał, jak to widzimy we wszystkich pozostałych po nim urzędowych aktach.

Ślub odbył się w obec obojga starostwa, jenerała Staremberga, oraz licznego jeszcze naówczas pocztu dworzan księcia i zaproszonych do asystowania obrzędowi, dla wiekszéj ważności, obecnych w mieście władz pruskich. Książę, który dawniéj na wzór swych braci, zwyczajnie nosił czerwony mundur ze złotem francuzkich muszkieterów, lub też ubiór dworski, *(a la Henri IV)* na dworze cesarskim w Wiedniu używany, od chwili poznania Marji-Józefy, dla przypodobania jéj się, przybrał wspaniały strój narodowy polski. W czasie uroczystości ślubu, miał na sobie mundur pułkownika kawalerji narodowéj, ten sam który nosił w bitwie pod Podhajcami, granatową kurtę z czerwonemi wyłogami i białemi srebrnemi ozdobami, na wierzchu zaś sobolą burkę z prawego spadającą ramienia i brylantową spinką spiętą; u boku wisiała szabla ze złotą rękojeścią, kosztownemi kamieniami wykładaną. Wysmukła i rycerska postać królewica, dziwnie ładnie wyglądała w tym stroju, a Marja-Józefa, która przy każdéj zdarzonéj sposobności, niezaniedbywała nigdy zwrócić uwagi na cudzoziemskie nawyknienia królewica i jego braci, tą razą za ubiór podziękowała narzeczonemu swemu tkliwém spojrzeniem. Sama ubrana była do ślubu jak zwykle w bieli, krojem dawniéj używanym. Duże jéj, prześliczne kolorem i obfitością włosy, szerokiemi sploty spadały na łabędzią szyję; spodnia, szeroka brokardowa suknia, pokryta była kontusikiem z tejże materji pod szyją zapinanym, z głowy spadała prawie do ziemi z prawdziwych brabanckich koronek zasłona. W wigilię ślubu, królewic posłał jéj trzy cudnie piękne ubrania z brylantów, szmaragdów i pereł, ale w tym dniu, nie miała starościanka żadnych na sobie ozdób, oprócz świeżéj mirtowéj korony. Przed obrzędem, ojciec Ferdynand w mowie swéj do nowożeńców, przypomniał testament starosty Rożańskiego, zalecając młodéj małżonce jako święty obowiązek, przebłaganie królewica Jakóba i jego żony. Marja-Józefa gorącemi łzami powitała tę mowę. Na *Veni Creator*, w pośród bogato przybranéj makatami i kwiatami, obszernéj kaplicy, dały się słyszeć srebrzyste głosy dwunastu młodych dziewic, które królewic na pamiątkę swojego ślubu szczodrze wyposażał i wydawał za synów wysłużonych w wojnach ojca swego żołnierzy. Młode pary brały ślub w tym samym dniu i chwili, i przy tymże co Marja i królewic ołtarzu, przy błogosławieństwach ubogich swych rodzin.

Po dopełnionym obrzędzie, liczne grono przyjęte i obficie ugoszczone zostało w jednéj z dalszych sal pałacu królewica, który powitawszy ich wraz z nowozaślubioną małżonką w progu chlebem i solą i pozostawiwszy wesołéj zabawie, przeszedł do górnych komnat, dla Marji - Józefy przeznaczonych, gdzie mu jenerał Staremberg i starostwo towarzyszyli. Tu nietylko wytrawny smak wersalskiego wychowańca, ale serca jego głębokie i żywe dla Marji uczucie, objawiło się w sposób

najtkliwszy i najdelikatniejszy. W sypialni swéj znalazła młoda królewicowa obraz cudownéj Matki Boskiéj Częstochowskiéj, należący do jéj ojca, i zawieszony nad jego łożem, podczas przyjęcia ostatnich Sakramentów. Przed tym obrazem paliła się, prześlicznéj roboty szczerozłota lampa i stał klęcznik, na którym poukładane były ulubione starosty książki do modlitwy. Wprost łóżka, pozawieszane były portrety królewica, króla Jana, Marji-Kazimiery, obojga starostwa Rożańskich, starostwa Ostrowskich, księżnéj Transmandorff, matki Delorme, księstwa Jakóbostwa i Zofji Leszczyńskiéj. W sypialni było dwoje drzwi, z których jedne parapetowe, prowadziły do ubieralni i łazienki, drugie zaś do biblioteki, która jednocześnie była zbiorem rodzinnych i narodowych pamiątek. Tu stała najprzód z cedru misternie wyrabiana szafa, z małą liczbą pisarzy polskich ze szczęśliwych Zygmuntowskich czasów, biórko hebanowe, droga po ojcu Marji - Józefy pamiątka; na niém leżał w czarny safian oprawny, zbiór listów rodzinnych, listy starosty Rożańskiego, jego małżonki, listy księżnéj Transmandorff i matki Delorme, oraz inne rodzinne pamiątki; daléj zawieszone były pułki z przedmiotami odnoszącemi się do różnych okresów życia Marji-Józefy, jéj ojca i braci. Na głównéj ścianie zwracała uwagę inna jeszcze po staroście Rożańskim pamiątka. Był to wielkich rozmiarów obraz olejno malowany, przedstawiający spotkanie Jana IIIgo z cesarzem Leopoldem I pod Wiedniem [1]). Obraz ten, jako dzieło pamiątkowe, tém był cenniejszy, że wbrew skażonéj w owych czasach niepotrzebnemi mitologicznemi dodatkami sztuce, wystawiał scenę spotkania, w całéj jéj wspaniałéj prawdzie i prostocie. Bohatér polski w białéj czapce, zdobnéj brylantową kitą, unosi się na pięknym i bogato przystrojonym rumaku. Wspaniała postać króla, jego czapka na bakier, wąs zawiesisty, karabela u boku, zdawały się streszczać w sobie charakter, ducha i wyobrażenia narodu, do którego należał. Z oczów błyszczała nieustraszona odwaga, w całym układzie była szczerota i łagodność, połączona z pewną dumą i zaufaniem w własną siłę — widoczném było, że tu głowa była w sercu, dyplomacja na ostrzu żelaza, sława w odwadze i poświęceniu, że wiał tu duch natchnienia, rycerskości, poezji z czasów wojen krzyżowych, wskazującéj wyższe niż ziemskie cele. Postać ta musiała być sympatyczną wiedeńczykom, jak sympatyczne są wszystkie rodzime swojskie typy, nawet gdy się obce w nie wpatruje oko. Ależ jaką sprzeczność stanowił cesarz Leopold I, ów oswobodzonego Zachodu reprezentant!......

. . . .

Leopold dosiadł małego hiszpańskiéj rassy kasztanowatego bieguna; ubrany w zwyczajnym swym dworskim stroju, krótkiéj sukni, bogato złotem haftowanéj, kapeluszu zwykle zwanym *á la Henri IV*, w białe i czerwone strusia pióra zdobnym, miał kitę i pas brylantami i szafirami gęsto nabijane i krótką szpadę z takąż rękojeścią. Na drugim planie obrazu była świta monarchów i ich straż przyboczna: elektor Bawarski, królewic Jakób, Stanisław Jabłonowski W. Hetman koronny i inni. Artysta uchwycił chwilę, w któréj cesarz, sądząc z poruszenia króla, staropolskim obyczajem poprawiającego wąsa, że sięga do czapki dla oddania mu pokłonu, pospieszył zdjąć kapelusz. Obraz ten, miał być wykonany przez naocznego świadka i tak być musiało, gdyż na obliczu dwóch głównych postaci, odbijają się z wielką prawdą ich wewnętrzne uczucia i namiętności. Rysy Leopolda uderzały wyrazem upokorzonéj ale nie pokonanéj pychy....

. . . .

Inny zupełnie wyraz malował się na twarzach osób, do orszaku jego należących. Zawiść pana, nie stłumiła wdzięczności w sercach dworzan i rycerzy; przeciwnie, widać było pewne zakłopotanie zimném i niestosownem cesarza obejściem wywołane, gdyż niemal każdy z nich zawdzięczał królowi polskiemu, to pałac w mieście, to zamki, ogrody, fabryki w jego okolicach, od ognia, rabunku i pustoszeń ocalone. Przed tym obrazem, nieznanego mistrza kompozycji, zatrzymali się dłużéj królewicostwo ze swoimi gośćmi;

[1]) Obraz ten, darowany zgromadzeniu PP. Sakramentek przez królewicowę Marję-Józefę, na pamiątkę dostojnego ich założyciela, zostawał w roku 1824 w celi jéj synowicy Klementyny (matki Tekli), gdzie go wiele razy z wielkiém upodobaniem oglądaliśmy. *(Przyp. Aut.)*

w obec wielkiego dramatu który przedstawiał, nastąpiła uroczysta chwila milczenia i skupienia ducha. Starosta przerwał ją, powtarzając owe słowa z tekstu Ewangelji, przez niemieckiego kaznodzieję wzięte i wypowiedziane z ambony, w czasie dziękczynnego *Te Deum* w Wiedniu w kościele XX. Augustjanów: *Był człowiek posłany od Boga, któremu imię było Jan.*

Jenerał Staremberg ujął rękę starosty i z głębokiém powiedział wzruszeniem:

— *Byłem wiernym cesarza Józefa poddanym, ale przedewszystkiém jestem chrześcijaninem; z głębi serca powtarzam wyrazy przez ziomka mojego na cześć bohatérskiego naszego wybawcy wyrzeczone.*

Z muzeum pamiątek przeszło towarzystwo do tak zwanego *Gabinetu sztuk pięknych*, w którym znajdowały się harfa i fortepian, potajemnie sprowadzone z Nasielska wraz z obrazem zjazdu pod Wiedniem, biórkiem hebanowem i innemi pamiątkami sprowadzonemi przez królewica do Gdańska. Obok były farby, staluga z przygotowanem do malowania płótnem i inne przyrządy; na ścianach porozwieszane były obrazy, a po kątach stały piękne rzeźby.

Zapomnieliśmy tu dodać, że wśród pamiątek rodzinnych i narodowych, leżał pugilares w ciemny safian oprawny, na złotą klamrę spięty. Królewic roztworzył go i wyjął arkusz papieru na dwóch stronach zapisany i podwójną pieczęcią opatrzony. Był to zapis w imieniu Marji-Józefy królewicowéj polskiéj, uczyniony na rzecz mającego się założyć szpitala w Żółkwi, oraz drukarni kollegium XX. Pijarów w Warszawie; w środku zaś pugilaresu był obrazek, wyobrażający prześliczną pastelową robotą scenę w Willanowie, gdy królewic przed obrazem Matki Boskiéj, jeszcze za życia króla, dozgonną poprzysięga miłość małéj Wesslównie.

Na ten widok, królewicowa ścisnęła rękę męża i łzy puściły się jéj z oczu.

— Dziękuję wam, dziękuję — rzekła z uczuciem — wszystko co tu widzę, jest wróżbą szczęścia dla mnie!...

— Marjo! — odrzekł książę pocichu — był to jedyny sposób, którym w czasie długiego a bolesnego rozstania, mogłem się zając tobą. Układ tego mieszkania nie mnie, ale ciebie moja droga maluje..... Modlitwa, cześć zmarłym, drogie rodzinne i narodowe pamiątki, sztuki piękne, pożyteczne książki, szlachetne zajęcia, chwała Boża i pomoc bliźniemu, zastępują tu zbytek, tyle ogółowi niewiast miły i pożądany.

Tu królewic złożył pocałunek na czole żony i wraz z rozczulonemi téj sceny świadkami, udał się do bawialnych komnat, gdzie oczekiwała na nich suto zastawiona wieczerza.

Na drugi dzień po ślubie, starostwo, jenerał Staremberg i ojciec Ferdynand, pożegnawszy młodą parę wyjechali z Gdańska, pierwsi do Nasielska, drudzy do Wiednia.

Rok pierwszy po zamęściu przepłynął Marji w niczém niezakłopotaném szczęściu i miłym spokoju. Oddana była niewinnym swym upodobaniom i zajęciom, modlitwie, czytaniu, muzyce i malarstwu, zajęcia te dzieliła z ubóstwionym mężem, a żadna przykra wiadomość nie przyszła jeszcze zatruć spokojnie płynących jéj godzin.

Odbierał wprawdzie królewic piorunujące listy od braci i od królowéj matki, ale te dowody ich gniewu, starannie przed wzrokiem żony ukrywał, a jeżeli w skutek tych listów zasępiło się chwilowo jego czoło, jedno spojrzenie Marji, jéj uścisk, słowo pociechy i miłości, wracało mu spokój i pogodę. Ale była to tylko pogoda poprzedzająca straszliwą burzę. Nowe zmiany gotowały się w Rzeczypospolitéj i przeważnie miały wpłynąć na los naszych małżonków. Po traktacie *Altranstadzkim*, Stanisław Leszczyński łącznie z Karolem wyparował wojska nieprzyjacielskie najprzód z Korony, a następnie i z Litwy, poczem przez niejaki czas zamieszkał w Warszawie. Pewien, że sobie na długi lat szereg zapewnił pokój, zajął się troskliwie poprawą wewnętrznéj administracji i o ile okoliczności pozwoliły, naprawą krzywd ubogiego ludu, długiemi wojnami i najazdami zniszczonego. Nie pozwoliła wszakże Opatrzność, aby te błogie Stanisława zamiary, w zupełności rozwiniętemi być mogły; wiemy z przeszłego rozdziału, że polacy niechętni byli królowi, którego uważali za narzuconego

przez obcą przemoc i elekcję pod naciskiem szwedzkich zastępów zwołaną. Do ich niechęci, niemało zapewne przyczyniła się koronacja Stanisława w Warszawie, bez zwyczajnych form wiekami uświęconych, na prędce, bez powagi i godności odbyta. Prymas Radziejowski i tu we właściwym sobie, chciwym, przedajnym i samolubnym występuje charakterze. Odstąpiwszy kolejno dawniéj wspieranych przez siebie kandydatów do tronu, popierał tą razą Hieronima Lubomirskiego, Wielkiego Hetmana Koronnego, który dla pewniejszego zapewnienia sobie przemożnéj jego pomocy, dał córkę swą siostrzeńcowi kardynała w małżeństwo. Od téj chwili prymas już otwarcie zaczął na stronę spowinowaconego z nim hetmana działać. Zagadnięty od Karola, co mają polacy przeciw ziomkowi swemu Leszczyńskiemu?—Za młody jest Najjaśniejszy Panie — odrzekł. — Jest w moim wieku—sucho dorzucił król szwedzki i tyłem się do niego obrócił. Jednocześnie także papież Klemens XI występuje przeciw królowi szwedzkiemu i jego protegowanemu, a bardziéj przeciw samemu Karolowi, który dał się słyszeć z swą nieprzyjaźnią dla stolicy apostolskiéj, odzywając się publicznie, że pójdzie z wojskiem do Rzymu upomnieć się o pozostałości po królowéj Krystynie. Taka postawa względem kościoła, w pośród narodu katolickiego, musiała niekorzystnie oddziałać na usposobienie znacznéj jego części, która widziała w tém lekceważenie swéj wiary i przekonań; niemniéj usprawiedliwiła ona poniekąd opozycję dworu rzymskiego, przeciw wyborowi Stanisława, który pełen pobożności i wierności stolicy apostolskiéj, nie mógł osobiście zasłużyć na jéj niełaskę. Nie dziw zatém, że gdy wszystkie inne dwory, bądź osobistemi widokami, bądź chęcią nienarażenia się potężnemu zdobywcy powodowane, uznały Leszczyńskiego królem, Klemens XI stale za nowonawróconym na wiarę katolicką Augustem, a bardziéj jeszcze za wyborem jednego z Sobieskich obstawał. Nie taił on swego współczucia dla synów Jana IIIgo i gdy przyszła wieść do Rzymu, o uwolnieniu królewiców polskich z więzienia, na czele kollegium kardynałów, udał się uroczyście do pałacu królowéj Marji Kazimiéry, dla złożenia jéj powinszowania z tak szczęśliwego wypadku. W tymże czasie, przebywający w odwieczném mieście stronnicy Stanisława, na wiadomość o jego elekcji, umyślili odśpiewać w polskim kościele Śgo Stanisława uroczyste *Te Deum* i z pośród ozdób i godeł świątynię zdobiących, zdjąć herby Augusta, aby klejnot rodziny elekta umieścić. Ojciec święty powziąwszy wiadomość o zamierzonéj demonstracji, najuroczyściéj takowéj zabronił, mimo, że królowa Marja Kazimiéra, idąc za zdaniem ulubieńca swego księcia Aleksandra, który w Leszczyńskim przedstawiał jéj chwilowego tylko syna jéj Jakóba zastępcę, usilnie w Watykanie za uznaniem Stanisława królem obstawała.

Ze swéj strony prymas Radziejowski, okiem prawdziwego jasnowidzenia politycznego, ocenił położenie rzeczy w kraju, nadzieje i widoki trzech głównych zapaśników: Augusta, Stanisława i Jakóba, awanturniczy charakter króla szwedzkiego, los mogący go spotkać wśród niebezpieczeństw wypraw i wojen. W obec tak trudnych i sprzecznych sobie okoliczności, czuł kardynał, że dla bezpieczeństwa własnéj osoby i stanowiska, nie wypadało mu się narażać któréj bądź stronie. Proszony o koronowanie Stanisława, odmówił pod pozorem zdrowia i usunął się do Gdańska, gdzie też wkrótce umarł. Człowiek ten należy do liczby ludzi, którzy niezaprzeczonemi zdolnościami i geniuszem, wynieśli się nad poziom czasu i narodu swego. Oddany z poświęceniem dobru ojczyzny, mógł był wywrzeć dobroczynny wpływ na jéj sprawy, a nawet wstrzymać nad brzegiem przepaści, ale chytry i przedajny, przykre i jałowe tylko zostawił wspomnienia. Zrazu przyjaciel Jana IIgo, któremu zawdzięczał swe wywyższenie i kapelusz kardynalski, po śmierci dobroczyńcy swego, oszukiwał jego wdowę i dzieci, pokątnie wspierał intrygi Poliniaka i zdradzał kolejno kandydatów do korony, którzy liczyli na jego stosunki i protekcję. Jako mąż stanu, celował głównie w epoce, w któréj naród polski nie liczył wcale w łonie swém ludzi politycznych. Jego umysł zwinny, giętki i przenikliwy, obszernemi wiadomościami, długiém doświadczeniem wzbogacony, mógł stawić

czoło intrygom Augusta, zachceniom Piotra i szalonym Karola planom. Nie uczynił tego, bo gdy przyszło działać na korzyść kraju, stanowczo i dzielnie bronić jego wielkości, powagi i niepodległości, osobiste i pokątne frymarki wiązały mu ręce.

Gdy tak różni ludzie i stronnictwa z niedowierzaniem i trwogą o przyszłość, patrzyli na dalsze Karola XIIgo kroki, odgłos jego tryumfów w Polsce i Saksonji, a głównie traktat Altranstadzki, odbił się o wszystkie państwa europejskie i wielkie wśród nich uczynił wrażenie. Pełen pychy i zazdrości Ludwik XIVty, widział już w młodym wojowniku współzawodnika swéj sławy i planów marzonego w Europie francuzkiego wszechwładztwa. Przebiegła Elżbieta królowa angielska, przysłała posła, który mu złożył w jéj imieniu powinszowania i hołdy. Ale najpochlebniejszy podobno hołd przewadze i szczęściu Karola, oddał dom austrjacki przez usta naczelnika swego. Gdy Karol, przywłaszczając sobie opiekę nad dysydentami szląskiemi, dopominał się u cesarza Józefa Igo o przywileje, traktatem westfalskim dla nich zastrzeżone, monarcha ten na jego żądania zezwolił, odpowiadając utyskującemu na te koncessje nuncjuszowi apostolskiemu temi słowy: *Dziękujcie Bogu, że król szwedzki nie żądał odemnie, abym się sam lutrem zrobił, bo w takim razie, dalibóg, nie wiem cobym był uczynił.* Taką to potrafił sobie wyrobić potęgę, młody wiekiem, podrzędnemu przewodniczący mocarstwu, szczęśliwy spadkobierca sławy wielkiego Gustawa Adolfa.

Wszakże tak tu, jak i z wielu innych dziejowych okresów doświadczenie uczy, że łatwiéj jest nierównie zwyciężyć nieprzyjaciela w kilku potyczkach, jak mądrze, z rozwagą, z szczęścia i trafu wojny korzystać. Fortuna odmówiła daru tego młodemu swemu ulubieńcowi, niemniéj ujęła mu owéj tyle zwyczajnéj w szczęśliwych wojownikach manji uniwersalnéj monarchji, a natomiast wlała w serce jego jakąś nader rzadką w monarchach i mężach stanu bezinteresowną przyjaźń dla Stanisława Leszczyńskiego, przyjaźń, ta która zamieniła się w dziecinny upór była powodem wielu klęsk dla Polski, Szwecji i samego króla.

Mówiliśmy poprzednio, że monarcha ten, bardzo chłodno przyjął propozycję księcia Jakóba, odwołującego się po uwolnieniu z więzienia do praw swych do korony, na mocy danéj księciu Aleksandrowi deklaracji Stanisława przed wyborem jego na króla. Pragnąc wszakże Sobieskiemu wynagrodzić utratę tronu polskiego, a zawsze w manji tworzenia królów, Karol o innéj dla niego zamyślił koronie. Plan ten tém mu się stał milszym, że dogadzał jego niechęci do cara Piotra Igo. Ufny w swą gwiazdę, po powrocie z Saksonji, zostawił w Warszawie mniéj chętnego do wojaczki Stanisława i pospieszył na Ukrainę, gdzie ataman kozaków Mazepa, z pochodzenia polak, ofiarował mu swą pomoc i przymierze. Tu zaskoczyła go okropna zima, która tak dziesiątkowała jego wojsko, że na nadchodzącą wiosenną kampanię, garstka z niego tylko, niezdolna do dalszego prowadzenia wojny, pozostała. Król nawykły do zwycięztw i powodzeń, tyle zaufał swemu szczęściu, że z takiém wojskiem wznowił zaczepne nieprzyjacielskie kroki. Pod Pułtawą na głowę pobity, schronił się w granice tureckie, gdzie od władz miejscowych uprzejmie został przyjęty. Musiał uczuć król Stanisław skutki téj straszliwéj szwedów klęski. Wojska nieprzyjacielskie dążyły napowrót zająć dawne swe w krajach Rzeczypospolitéj stanowisko, a zawsze skory do korzystania z przyjaznych okoliczności August, na pierwszy odgłos porażki Karola, na czele swoich sasów, przeszedł granice Polski, ogłosiwszy protestację przeciw wymuszonemu traktatowi Altrastadzkiemu i wezwał polaków do powtórnego uznania go królem. Wzięty we dwa ognie Stanisław, opuszczony przez zawsze niechętny mu naród, z resztkami strzegących go wojsk szwedzkich, szukał schronienia w Pomeranji. Żona, córka Marja późniejsza królowa francuzka, oraz poważna wiekiem i cnotami matka, pospieszały za nim do Szczecina. Głęboko religijny i sumienny Leszczyński, musiał sobie niejednokrotnie wymawiać, że stając się obcéj przemocy i swojskich intryg narzędziem, był krwi bratniéj rozlewu przyczyną. Ale w owych czasach, nie do maluczkich, ale do wielkich i możnych odnosiła się sumienność. I tak

Stanisław, w chwili upadku nie tyle już myślał o ucisku biednego ludu, nowém najściem wojsk obcych zagrożonego, jak o zadosyćuczynieniu obowiązkom i przymierzu względem nieszczęśliwego i upadłego wspaniałego opiekuna swego. Jak to zwykle bywa, jedna klęska nigdy sama nie przychodzi. Po przegranéj pod Pułtawą, stanęło poczwórne przymierze przeciw Polsce i Szwecji, między Augustem. Piotrem, reckiego, w niewolę wzięty został. Rzecz się tak miała: Karol schroniwszy się do Turcji po nieszczęśliwéj pod Pułtawą klęsce, zawsze uparty i przedsiębierczy, nie stracił nadziei, że zdoła pomścić swą krzywdę, gdy podburzy Portę przeciw Rossji. Jakoż udało mu się zrazu skłonić ją do wojny. Dwakroć sto tysięcy wojska tureckiego dąży nad Prut, oblega armię cara, ...



Przed tym obrazem nieznanego mistrza zatrzymali się dłużéj królewicostwo ze swoimi gośćmi.

Danią i Prusami. Stanisław chcąc odwrócić od Karola groźną i silną koalicję, składa dobrowolnie koronę, o czém uwiadamia Karola w Benderze zostającego. Ale gdy uparty szwed, zawsze obstaje przy uznawaniu go królem, Stanisław, w nadziei że za osobistém widzeniem zdoła Karolowi grożący stan jego interesów dostatecznie wyjaśnić, wyjeżdża ze Szczecina przebrany i pod obcém nazwiskiem, przebiega Niemcy i przybywa do Jass w tym właśnie czasie, gdy Karol, porwawszy się z garstką swych dworzan przeciw oddziałowi wojska tu- Wezyr odstępuje pewnéj wygranéj i zawiera najniedorzeczniejszy pokój, właśnie w chwili, gdy wezwany przez niego do rady wojennéj wcale tego co zaszło nieświadomy Karol, do obozu tureckiego przybywa. Któż zdoła opisać gniew i rozpacz szwedzkiego bohatéra.... Wyrzuca wezyrowi jego zdradę, dowodzi, że mógł był w bardzo krótkim czasie w niewolę wziętego cara przywieść do Stambułu, za co wezyr z krwią zimną odpowiada mu z przyciskiem: *nie trzeba, aby wszyscy monarchowie błąkali się za granicami państw swoich.* Na tak

dotkliwy wyrzut, Karol odpowiedział uśmiechem pogardy. W bezsilnym swym gniewie, gdy w czasie téj rozmowy siedział na sofie, niby bawiąc się nogą, wyciągnął ją i ostrogą rozdarł suknię wezyra, poczem pełen rozpaczy, dosiadł konia i wrócił nazad do Benderu. Poniatowski (ojciec Stanisława Augusta), osobisty i pełen poświęcenia przyjaciel Karola i Stanisława, obecny przy téj rozmowie, po wyjeździe króla, starał się łagodniejszemi środkami nakłonić wezyra do odstąpienia traktatu, ale przyszła godzina modlitwy. Muzułmanin nie wyrzekłszy ani słowa, pospieszył według wschodniego obrządku umywać ręce i odmawiać pacierze na uboczu. Wszakże Karol niepowodzeniem nie zniechęcony, przez ajentów swych w Stambule, starał się nakłonić znów sułtana Ahmeta do dalszéj przeciw Rossji wojny i podał mu plan nowéj zaczepki. Przemogło jednakże w Dywanie stronnictwo przeciwne jego zabiegom, i odebrał rozkaz niezwłocznego powrotu do Szwecji. Zawsze energiczny i nieustraszony, nie dał się pokonać przeciwnościom, chciał wrócić do swego państwa, ale po dokonaniu pierwotnego planu który utworzył, bronił się więc na czele kilku dworzan, przeciw oddziałowi tureckiemu; uledz wreście zmuszony przemocy, jako jeniec odprowadzony został w głąb Turcji. Gdy się to dzieje, Stanisław, jak to powiedzieliśmy, pod obcém nazwiskiem przybywa do Jass, gdzie poznany i przytrzymany przez hospodara mołdawskiego, pod silną eskortą, lubo z honorami jego królewskiemu dostojeństwu przynależnemi, odesłany został do Benderu pod straż tamecznego paszy. Takim sposobem dwóch królów europejskich zostaje w niewoli tureckiéj. Karol dowiedziawszy się o przewiezieniu Stanisława do Benderu, wysłał jednego ze swych oficerów dla powitania go, a jednocześnie uprzedzenia, aby nie ważył się wchodzić w układy z Augustem, gdyż ma nadzieję zmusić go wkrótce do obowiązków traktatu Altranstadzkiego. Jakoż jakkolwiek w niewoli, Karol traktował jeszcze z Dywanem przez posła swego Poniatowskiego, który tak zręcznie umiał układy prowadzić, że zdołał sułtana Ahmeta namówić do powtórnéj przeciw Rossji wojny. Ośmdziesiąt tysięcy wojska posiłkowego dodano Stanisławowi, który miał objąć nad niém dowództwo pod Chocimem. Towarzyszyło mu kilku niechętnych Augustowi panów polskich, otoczony był gwardją przyboczną; drugi zaś korpus nierównie liczniejszy zbierał się pod wodzą samego króla szwedzkiego. Ale los zawsze nieprzyjazny Stanisławowi i obecnie zawiódł jego nadzieje. Zręczne zabiegi cara Piotra i niestałość Dywanu, zmieniły stan rzeczy. Nowe rozkazy odebrały dowództwo nad wojskiem Leszczyńskiemu, który znów jako jeniec, do Benderu odprowadzony został. Nie potrzeba było tyle, aby nie lubiącego wojny i szanującego spokojność narodów Stanisława, zniechęcić. Błagał Karola, aby nie sprzeciwiał się jego powrotowi do życia prywatnego, co po wielu trudnościach uzyskał. „*Powracaj kiedy chcesz*, pisał do niego do Benderu Karol, ale ja tu za ciebie i tron twój będę walczył“. Zawsze o los przyjaciela troskliwy, król szwedzki darował mu księstwo Dwóch Mostów, gdzie go Poniatowski za pozwoleniem Porty odwiózł i w imieniu króla szwedzkiego zainstalował. W kilka miesięcy późniéj, Karol powziąwszy wiadomość o grożącém jego państwu niebezpieczeństwie ze strony poczwórnego przymierza, z wielką sułtana i Dywanu radością, pod cudzém nazwiskiem w towarzystwie kilku zaufanych przyjaciół, wyjechał z Turcji i nagle, niespodzianie, ukazał się znów w Stralzundzie, gotowy do walki, jako istny gieniusz wojny, na postrach swych nieprzyjaciół. Nie długo jednakże Opatrzność pozwoliła mu zdumiewać powtórnie świat swemi zwycięztwami i sławą. W nowéj przeciw Rossji wojnie, na granicach Norwegji, w twierdzy Friderichshal zwiedzając świeżo wystawione szańce, stanął naprzeciw baterji nieprzyjacielskiéj i ugodzony w prawą skroń, padł bez duszy. Tak skończył wielki wódz, nieustraszony żołnierz, pełen woli i energji bohatér, z najszlachetniejszemi dążnościami człowiek, ale jako monarcha nieumiejętny, niepraktyczny, dyplomata żaden, więcéj zakrawający na błędnego rycerza z wieków średnich, niż na panującego w nowszych czasach księcia. Pełen bezinteresownych względem Polski dążności, wierny jéj

swobód i niepodległości przyjaciel, wiele jéj zaszkodził, przez przesadzoną i kapryśną dla Leszczyńskiego przychylność, dziecinny upór, lekkomyślność, ducha awanturniczych wypraw, a nadewszystko małą znajomość charakteru, obyczajów, przekonań i narodowéj dumy polaków. Byłby zasłużył na przybrany przez siebie tytuł *Restauratora polskiéj niepodległości*, gdyby zaniechawszy nieoględnéj swéj na północ wyprawy, przywrócił był Polsce jéj zupełną w wyborze króla swobodę, dopomógł jéj do ustalenia granic na potężnych dwóch mórz ramionach, wpływem swoim wywołał zmianę jéj opłakanych instytucji, a zostawując choć słabego Stanisława na jéj *dziedzicznym* tronie, pod zasłoną nowéj politycznéj, więcéj z duchem praw reszty Europy harmonizującéj ustawy, powrócił do swego państwa ze zdobyczą wielkich i pięknych czynów, oraz silnego a wdzięcznego w narodzie polskim sprzymierzeńca.

(D. c. n.)

USTĘP Z CODZIENNEGO ŻYCIA.

Powszechnym jest zwyczajem malować pokój kawalerski pełnym nieładu i zaniedbania, lecz ten do którego zajrzeć mamy, był właśnie w zupełném przeciwieństwie ze zwykłemi młodych mężczyzn pokojami, bo wszystko w nim miało swoje miejsce właściwe; mebelki proste lecz czyste, łóżko porządnie zasłane, a największe skarby tego mieszkania i młodego życia co w niém upływało, książki oprawne i nieoprawne, rozkładały się tam wyraźnie na pierwszym planie. Niektórzy mi gotowi zaraz dowodzić, że ta systematyczność i porządek młodego gospodarza, przepowiada jakiś pedantyzm umysłu, który nigdy nie idzie w parze z wyższemi zdolnościami, lecz znowu i w tym punkcie muszę wbrew przyjętym wnioskom się oświadczyć, że tam porządek był nawyknieniem dobrego wychowania, a umysł logiczny upodobał sobie w ładzie zewnętrznym, który tak dobrze ładowi jego pojęć i wniosków odpowiadał. W tym pokoju siedziało kilku mężczyzn, a rozmowa, jak to bywa między młodemi, toczyła się o kobiétach; przedmiot to, po którego traktowaniu można łatwo poznać stopień moralnéj i umysłowéj wartości rozmawiających, a że to była młodzież oddająca się nauce i miłująca ją mniéj lub więcéj, więc też i rzecz szła o tém, jakie jest zadanie umysłowości kobiecéj w społeczeństwie i jak kobiéta powinna się uczyć? Lecz pierwsza część pytania upadła wkrótce niepodtrzymywana, lubo Feliks gospodarz zwrócił uwagę, że każdy człowiek ma prawo kształcić zarówno swe władze myślące jak i czujące i każdy winien z nich spłacić procent społeczeństwu.—Ale umysłowość kobiéca objawiała się silnie tylko w wyjątkach, które nic nie stanowią, zakrzyczano go.—Intelligencja w ogóle u kobiét, jest za słaba do wyższéj nauki, zawyrokował jeden.—Po co kobiécie się uczyć, kiedy ona ma piękność i uczucia któremi nas zachwyca i podbija, westchnął jakiś kandydat na poetę.—Kobiéty uczone, jeżeli są, są wszystkie pedantki, brudne koło siebie, cierpkie w obejściu z drugiemi, nieznośne żony, złe gospodynie, matki wyrodne—a resztę dopowiem wam na ucho, dokończył dwudziestoletni mówca, widząc że śmiech w około niego powstał z tych sądów, które już przez wieki każda generacja podaje następnéj, niby monetę zdawkową, wybitą na wzorze z wyjątków, pod stemplem zawiści, więc mimo czas długi niewytartą jeszcze, a wielce przydatną dla ludzi nie pracujących własną myślą i chętnie biorących gotowe rzeczy od drugich. Jednak ta wiązanka oklepanych ogólników, podana towarzyszom jako owoc własnych spostrzeżeń, przez kandydata do wszelkiego rodzaju wielkości, nie zatrzymała długo ich uwagi, a nie wiadomo czy to przypisać postępowym wyobrażeniom wieku, czy też oświeceńszym umysłom rozmawiających; my zaś co nie piszemy rozprawy w tym przedmiocie, mijamy wszystko co powie-

dziane być mogło, zachowując w pamięci trzy postacie i trzy życzenia, które tam żywo wyrażone były. Młody gospodarz rzekł z zapałem:

— To wiem tylko, że nigdy nie będę przypisywał sobie prawa odpychania kobiéty od uciech wzniosłych, które daje nauka. Jakto? więc kiedy sam zasiędę do téj biesiady duchowéj, zawołam na nią: „Precz! tobie nie wolno nawet patrzeć w tę stronę!“ Nie! stokroć razy nie! wiem, że jak serce moje będzie pragnąć serca, w którémby znalazło dla swych uczuć wzajemność, tak i myśl moja pogoni tęsknie, za swojém, w drugiéj myśli, dopełnieniem.

Na to zaśmiał się serdecznie wesoły Antoś—czy czasem nie chce ci się żony poetki? zapytał. Ach! gdybym wiedział że mnie Pan Bóg taką ma skarać plagą, tobym się nie czekając utopił, zanim bym utonąć miał w powodzi sławy mojéj połowicy. Kto się troszczy o męża poetki? ona sama troszczy się przedewszystkiém o laury pochwał i uwielbienia, mieści miłość swoję w przedmiotach, które jéj użyczają natchnienia, a tymczasem któżby mnie kochał i dzieci moje?

— Fraszka, że ci tam jaki wierszyk sklei i końcówkami powiąże wyobrażenia przedmiotów na które patrzy, odezwał się stanowczo Adolf. Takie, wierz mi, nie są niebezpieczniejsze od papugi w salonie, ale strzeż się mądréj, co to się rada w naukach zatapia. Podobnych wyrodków natury jak ognia się boję i gdybym się dowiedział, że moja narzeczoną uczyła się fizyki i chemji, gotówem odejść od ołtarza; nie mówię już o językach starożytnych, bo ta umiejętność u nas, dzięki Bogu, nawet między mężczyznami nie jest pospolitą.

Widząc że pan Adolf jest wcale pięknym mężczyzną i nie jednéj panience może główkę zawróci, możnaby się ciężko zasmucić, że się tak raźno wybiera pomiedzy nie na apostoła ciemnoty, gdyby dostrzeżony półuśmiech na licach jego kolegów, nie dawał się domyśleć, że śmiały mówca nigdy i dla siebie nie był wielkim oświaty zwolennikiem.

Dowiedziawszy się cokolwiek, co mówią młodzi mężczyzni, podsłuchajmy teraz trochę, jak to rozmawiają młode kobiéty. O czemże proszę, ta panienka do drugiéj szepnęła? — Że Gustaw pięknie tańczy.— Cóż jéj odpowiedziała ta druga z minką pełną zamyślenia? Że pan Gustaw jest bardzo porządnym człowiekiem i ma znaczne dochody. Lecz nie o takie lalki salonów nam chodzi, zajrzyjmy raczéj do téj komnaty, gdzie kilka panienek szyje dla ubogich bieliznę, a jedna z nich głośno im czyta. W ich twarzyczkach tyle powabu jak w tych kwiatach rozstawionych po pokoju, a w głosie dzwięk tak uroczy i wymowny, że zdaje się być echem ukrytéj w głębi duszy harmonijnéj uczuć liry.

Nareście jedna z nich zaśpiewała.

— Co ty śpiewasz? kto tę piosenkę ułożył?..... piękna, prześliczna! zawołały towarzyszki.

— Ja cię Zosiu, posądzam, dodała jedna z nich.

— O co? zapytała jasno-włosa, niebiesko-oka Zosia i różannym spłonęła rumieńcem.

— Żeś to ty, tę piosenkę ułożyła.

— Nie mów że tego, wypierała się Zosia.

— Chcesz się ukryć, żeby nacieszyć do woli swoję miłość własną pochwałami naszemi?

— O! nie posądzajcie mnie o to, kochane moje, ale kiedy chcecie całéj prawdy, przyrzeczcież mi tajemnicę. Ja nie raz złożę jaką piosenkę i dłuższy wiersz napiszę, dodała ciszéj, ale mama kryć się kazała, bo tego mężczyzni nie lubią i nawet bardzo potępiają.

— Czy podobna? potępiać dar Boży! przecież słyszałam czasem sama jak chwalą.

— Chwalą, ale nie kochają, westchnęła Zosia; mama zawsze mi mówi, że jeżeli chcę mieć dom swój własny i dozgonnego przyjaciela, powinnam mówić o gospodarstwie, o przyprawach kuchennych, a jak najrzadziéj o poezji. Ja zaś wierzę w miłość mojéj matki, więc jéj słucham.

— A! zapewne twoja mama wié to lepiéj od nas z doświadczenia, kiedy tak mówi, rzekła zadumawszy się z goryczą Jadwiga.

— Jakto! zawołała Marja z oburzeniem, winić poetę że wypowiada co mu leży na sercu, to winić kwiat że pachnie, ptaka że śpiewa.

— Poetę też nikt nie wini, owszem jemu, jak powiadają,wszystko wolno, ale poetkę— sądzi się inaczéj.

— Ha! precz mi z takim sądem i z ludźmi co go wydają, jeżeli dla nich dar Boży, nie jest uczczenia godném namaszczeniem na wyższe posłannictwo.

— Kiedy widzisz, moja Marjo kochana, twierdzą że nas miłość nauki od miłości dla naukowych przedmiotów, odwróciły się od kochanych.

— Ale tu nie o same uczucia idzie, lecz o zdawkową monetę tych uczuć, objaśniła Jadwiga. Mężczyzni w zamian za zapracowany dla nas kawałek chleba, pragną być naszemi pieszczochami, zastać w około siebie wszystko gotowe, wygodne, osłodzone troskliwością naszą, jaśniéj mówiąc, lubią



Tacyta! krzyknął Adolf biorąc się za głowę.

bliźniego i pełnienia naszych obowiązków odrywa, tłomaczyła Jadwiga.

—I jakże się tu nie oburzać, wołała pełna zapału Marja na sądy tak płytkie! Więc ukształcenie umysłu niedaje szerszego pojęcia obowiązków i nie wskazuje konieczności sumiennego ich pełnienia? Więc ten jasny promyk mądrości, który spływa na mnie od Stwórcy mego przez naukę i uczy mnie miłować go i wielbić, wysuszy źródło uczuć moich dla ludzi?.... Ach! nie znają kobiecego serca ci, co się lękają, żebyśmy tak jak swój ciepły szlafrok w domu skrzętną gosposię uprzedzającą ich życzenia, dogadzającą ich samolubstwu z przenikliwością obmyślanemi wygódkami, a ich smakowi kuchenną przyprawą.

— Ha! rozśmiała się Marja, trzeba z pokorą wyznać, że w kuchni rozstrzyga się nie raz pogoda lub burza naszego żywota i my same, gdy dobrego używamy zdrowia, nie jesteśmy nieczułe na smak posilnéj potrawy od czego, ręczę wam, żeby mnie nawet najgłębsze metafizyczne dociekania nie od-

uczyły. Znając mnie dopiero od roku, nie wiele wiecie o mnie, ale to wam zapewne wiadomo, żem zdawna sierota i chowałam się ciągle przy bardzo uczonym dziadku. Otóż on wyuczył mnie po łacinie, kazał wiele pracować nad historją, twierdząc że nauka jest największą rozkoszą bogatych i że jego stać na zapewnienie mi używania do śmierci téj rozkoszy. Czy sądzicie, że już dla tego nie umiem wziąść igły do ręki i nic się nie znam na kobiecém gospodarstwie? owszem, było one zawsze dla mnie rodzajem wytchnienia, które lubiłam i choć mnie nigdy nikt do tego nie naglił, biegałam czasem do kuchni podkradać kucharzowi jego tajemnice i bawiłam się nieraz w przyrządzanie własnoręczne dziadkowi, ulubionych pierożków ze śmietaną.

— Szczęśliwaś! westchnęła Zosia, ja już nie mam tego talentu, choć mnie mama ciągle do niego nagania.

— To ci nie przeszkodzi że będziesz kochaną, moja śliczna różyczko, zapewniła ją Marja, nie smućmy się więc daremnie powtarzaniem zdań które dziś już żadnego znaczenia nie mają i wierzmy, że podniesienie godności człowieka w sobie, nie odstręczy od nas mężczyzn, ale owszem zeskarbi nam ich szacunek. Co się mnie tyczy, wierzę mocno, że ten, któryby chciał życie swoje z mojém połączyć, pojmie mnie od razu i taką jaką jestem ukocha.

Tutaj panienki poszeptały sobie trochę o tajemnych pragnieniach serca swego, czystych jak łza anioła zapatrzonego w oblicze Stwórcy, uroczych jak woń kwiatu, lecz tych słów nacechowanych naiwną nieświadomością życia, czarownych złudzeniami, wkraczających w cudowność i w nadziemskie zachwycenia jak niedoścignione sny młodzieńczéj wyobraźni, nie odważę się powtórzyć przed wszystkiemi, na małą bowiem ilość tych, dla którychby one były najwznioślejszą wiosny życia poezją, jedniby niezrozumieli, drudzy ruszyli ramionami z lekceważeniem, a inni jeszcze, przywykli uważać życie przedewszystkiém z jego materjalnéj strony, szydzić gotowi.

Teraz pozostąję mi dopowiedzieć jaki był dalszy los, tych kilku wybitniejszych postaci, których rozmowę podchwyciliśmy. Gdybym pisała powieść, miałabym wielką przyjemność zapoznać Feliksa z Marją i połączyć ich, ale opowiadając rzeczy tak jak były, objaśnić mi wypada, że się nawet nigdy w życiu nie spotkali. Feliksa jeszcze trzymały w cichym zakącie naukowe prace, kiedy Adolf wszedł, jak to mówią, w świat, w zamiarze zrobienia karjery przez ożenienie, gdyż do żadnéj innéj nie był zdolny. Czasem się to nie źle udaje pięknym i zręcznym młodzieńcom; Adolfowi téż udało się wybornie, gdy poznawszy Marję i dowiedziawszy się że ma znaczny majątek, *postanowił* się w niéj zakochać. Panna wychowana w zaciszu wiejskiém, znająca świat, nie takim jakim był, lecz jak go sobie w swéj bujnéj wyobraźni uroiła, dała się łatwo złudzić wabnym pozorom towarzyskiéj ogłady i powierzchowności Adolfa, a raz odziawszy jego postać, we wszystkie przez siebie wymarzone doskonałości, ukochała w nim nie człowieka jakim był, ale swój własny ideał i napróżno z tego zaślepienia byłby ją kto ocucić usiłował. Co do Adolfa on tak przedewszystkiém wiedział że bogata, że nie dopatrzył wyraźnie przed ślubem że *za mądra*. Ale co się téż zdarzyło najzabawniejszego, lubo wprawdzie bardzo zwykłego, Antoni dostał to czego najbardziéj się lękał — żonę — poetkę. Wprawdzie zręczna mama umiała ukryć przed narzeczonym usposobienie Zosi, mające tak być szczęściu rodziny przeciwne, ale co dokazała matka wystawiająca córkę przed oczyma ludzkiemi *na zbycie*, tego ukryć nie potrafiła poczciwa żona przed mężem. Myślicie że z tego wyniknęły swary i rozłączenie? bynajmniéj. Pan Antoni powiedział sobie rozsądnie, że raz wziąwszy dobrowolnie żonę, trzeba ją pilnować do śmierci, a gdy się jeszcze przekonał, że nie ma zgubnych dla jego spokoju tendencji i owszem, pociągający wdzięk w swém poetyczém usposobieniu, pokochał ją jeszcze bardziéj, darował jéj nawet że się na kuchni nie zna i w jéj talencie znajdował bodźca do kształcenia się własnego, chcąc jéj być światłym przewodnikiem i doradcą.

Inaczéj się rzeczy miały z domowém pożyciem Adolfa i Marji. Po ślubie wkrótce po poznaniu nastąpionym, rozpoczęło się wzajemne rozczarowanie. Skutkiem okoliczności zgubnych dla szczęścia małżonków,

posag Marji okazał się daleko mniejszym niż sądzono i lubo pozostałość mogła wystarczyć na dostatnie życie rodziny, jednak zawód był dotkliwym dla próżności Adolfa i tysiącznemi przycinkami z jego strony odbijał się bolesnie na Marji. Naprzód zaraz się spostrzegł że *za mądra* i ciągłém poniżaniem pilnował ją, żeby nie wpadła w zarozumiałość. Raz żartował z niéj dość grubijańsko, że się ma za tak uczoną, jak owa mysz co łacińską książkę zjadła.

— Nie zjadłam, odparła Marja wesoło i bez urazy, ale przeczytałam nie jedną.

— Czytałaś? zawołał mąż wytrzeszczając przerażone oczy.

— Ma się rozumieć—przy dziadku. Czy ty nie wiész, że ja znam język łaciński? Tłomaczyłam Tacyta bez słownika.

— Tacyta! wrzasnął Adolf, biorąc się za głowę, przypomniawszy sobie wszystkie strachy, w tym względzie, swych lat młodociannych; Tacyta! powtarzał, jakby mu się zaczęły mieszać jego słabe pojęcia.

Aż kucharka zdziwiona tym krzykiem, który przez trzy pokoje do jéj uszu doleciał, opuściła garnki i przybiegła ciekawa —słuchać podedrzwiami.

— To nic innego, rzekła do siebie, oceniając słyszaną rozmowę ze swego stanowiska— pan wymawia pani, że ma kochanka...... i jeszcze jakiegoś *Tacytę*, mój Boże!

Podczas kiedy kucharka duma podedrzwiami nad zmąconém przez *Tacytę* szczęściem domowém swych państwa, przypala się mięso w rosole, co daje powód Adolfowi do nowych wyrzutów, że nie zjé nigdy dobréj zupy ten nieszczęśliwy mąż, którego żona umie po łacinie, nie pomnąc że właśnie żona byłaby może wyszła do kuchni pod ten czas, kiedy musiała w pokoju słuchać jego andronów.

Tak tedy rozprysł się w gorzkiéj rzeczywistości pozycia z pospolitym i płytkiego umysłu człowiekiem, młodociany zapał Marji. W rozwiniętych władzach swego umysłu, znajdowała ona siłę do znoszenia losu, jaki już zmienić nie było podobna. Nie raz nawet kiedy się zastanawiała nad zaślepieniem, które ją w obecne położenie wtrąciło, musiała przyznać, że kobiéty nie dorosły jeszcze do szczęścia jakiego pragną i nie napotykają w życiu godnych siebie mężczyzn dla tego, że napotkanych ocenić nie umieją, dając nie raz pierwszeństwo pozorowi przed rzeczywistą wartością. Kiedy schylona nad kolebką córeczki z milczącą troską macierzyńskiego serca śledziła sen jéj błogi, nieraz w budzącym się już o los jéj przyszły niepokoju, zapytywała wraz z poetą: „Czyż z nami tak zawsze będzie?“ I rzewnym szmerem smętnéj pociechy, płynęła jéj do myśli odpowiedź poety: „Czas idzie dopiero, lecz nie nadszedł dotąd.“ Wtedy wznosiła w górę oczy, jak to zwykle czynimy pragnąc się choć myślą od ziemskich oderwać boleści i powtarzała z wiarą: „Nie lękaj się - bo gdyby co zaginąć mogło — prędzejby w sądach Pana olsnęła męzka gwiazda chwały, niż wyschła napróżno łza nieszczęśliwéj.“ (Zyg. K.)

Winniśmy tu dodać że Feliks nie spotkawszy kobiéty mogącéj go, według jego wyobrażeń, uszczęśliwić, nie ożenił się wcale, wędrując przez życie z tęsknotą w sercu, wierny swéj najpierwszéj kochance, nauce.

J. Śmigielska.

UŁAMEK Z SILVA RERUM,

Na Powiślu spisanego, a na wieży w Chodlu znalezionego.

Stare pamiętniki nieboszczyka Wojskiego Sandomierskiego od zatraty ocalone zostały, powierzeniem ich przez jego wnuka, w pieczołowite ręce J. Księdza Leszczyca, proboszcza Chodelskiego, który czując się być wiekiem na siłach osłabionym, aby takowe w razie śmierci w cudze ręce nie wpadły i zatracone nie zostały, jak świadczy własnoręczne jego zanotowanie, dla zachowania, w wieży kościelnéj po nad sygnaturką umieścić je kazał. Dostrzeżone tam później przypadkowo przez syna ów-

czesnego organisty, uganiającego się za gniazdami kawek i na cmentarz kościelny zrzucone, a przez przechodzącego podniesione, doszły do rąk moich.

Papiery te, w połowie zbutwiałe, jak się pokazało, były zbiorem wiadomości rodzinnych i krajowych, było to po prostu staroświeckie *silva rerum*, ale albo atrament tak wyblakł i spłowiał, albo papier tak zbutwiał i rozsypał się, iż z kilkunastu kart początkowych i tyluż ostatnich, prócz urywkowych wyrazów nic odczytać i w myśl związać nie było można.

Środkowe arkusze, jako pierwszemi i ostatniemi od przystępu powietrza zakryte, lepiéj dochowane zostały, a w nich wyczytać się dała, nie odległéj okolicy dotycząca legenda, którą ze zmianą wyrazów przedawnionych na współczesne, tutaj w wierzytelnym odpisie zamieszczam. Oto słowa rękopismu:

„Nieboszczyk dziad mój, starosta Zawichostski, świeć Panie nad duszą jego, opowiadał mi siedząc przy kominku w starym dworze Linowa, gnieździe przodków moich, między innemi i tę historję, którą dla wiadomości wnuków i prawnuków do téj familijnéj kroniki domowéj wpisać zamierzam. Widać z tego opowiadania że dawniéj częściéj jeszcze jak dzisiaj zdarzały się wypadki na świecie, o których ani mądrym ani głupim, wcale się nawet nie śniło, rozum zaś ludzki jak dawniéj tak i teraz, nie mógł zgłębić i doścignąć siły twórczéj lub niszczącéj, choć widział jéj skutki.

Widzisz Rościsławie! mówił tedy dziad mój do mnie, siedząc pod starą lipą przed gankiem, widzisz ztąd oba brzegi Wisły, gdybyśmy tylko tę rzekę naszą skłonić mogli, aby nam rzeczy, których była świadkiem opowiedzieć chciała, jużbyśmy bliżéj i dokładniéj niż z podania znali dzieje Krakusa, Wandy i smoka w jaskini pod Wawelem zabitego, ba! ale ona nic nie powie... Gdyby nie ta scieżka która dotąd bieleje na wodzie wprost Piotrowina, to może byśmy teraz już nie wiedzieli, gdzie to nasz Ŝty Stanisław przechodził wskrzesiwszy dawnego wioski téj dziedzica.

Korzystajże przynajmniéj wnuku mój z tego, że ojciec twój każe cię uczyć u Ojców Benedyktynów gęsim pługiem po papierze orać, bo ta nauka da ci możność zostawić na piśmie wszystko co zobaczysz i usłyszysz; opowiem ci nie jedno ciekawe zdarzenie, a najpierw historję którą słyszałem od dziada mego, o tém co się działo przed laty przeszło dwustu na przeciwległym brzegu Wisły.

Przeszło lat 50 temu, gdy mi to ojciec mój, świeć Panie nad duszą jego, opowiadał, a ja nie piśmienny, tak sobie to w głowie mojéj umieściłem, iż ci rzecz całą prawie słowy jego powtórzę.

Widziałeś te bryły siwego kamienia, które w 3ch oddziałach na grzbietach wyżyn Rachowskich jakby szeregami leżą? Otóż to o tych kamieniach muszę ci powiedzieć, com słyszał w młodości. Będzie temu ze 150 lat przeszło, jak żyła w Małopolsce familja Toporczyków, zwanych Rachy. Jeden z tych Rachów, Joachim, ówczesna głowa rodziny, dowodził hufcem w wyprawie Bolesława Śmiałego na rusinów, i w niéj poległ pod Kijowem. Dzielna to krew była w tym człeku, przeszła w pozostałych po nim synów, Żegotę i Sędziwoja.

Pozostawił on także wdowę, Annę, kobietę świętobliwą, która od śmierci męża, mimo urody, jaką podówczas jeszcze jaśniała, sukni żałobnéj nigdy już nie zdjęła.

Dzielność krwi rodu Rachów, czyniła ich popędliwemi. Żegota dwoma laty tylko starszy od Sędziwoja, upodobał sobie Halkę ze Słupi, pobliskiéj osady nad Wisłą. Chodziły o niéj wieści że miała wzrok tak ujmujący i tak gładkie oblicze, że na kogo jeno spojrzała, ten już był w niéj do szaleństwa rozmiłowany. Zdarzało się, iż gdy stanęła na górze Brzozowéj po nad Wisłą, a flisy, spławiający zboże lub drzewo do morza, ją spostrzegli, z osłupienia opuszczali ręce, a wzrok swój wlepiwszy w cudną dziewkę, płynęli na oślep, co bywało często powodem rozbicia o kamienie, a następnie zatopienia statku. Mówią że ci, co w ten sposób zginęli, w rocznicę śmierci o téj saméj godzinie, wychodzą z wody i ręce ku Brzozowéj górze wyciągają. Żegota poślubił tę urodziwą dziéwkę: wtedy właśnie gdy się gody weselne odbywały, zoczył ją po raz pierwszy Sędziwój i tak gorącym dla niéj affektem rozpłonął, że zaraz dostrzegli tego obecni sąsiedzi. Jak-

kolwiek Żegota był pięknym i dziarskim młodzianem, strzeliste wejrzenia Sędziwoja nie obojętne były Halce. Nie zadługo spostrzegła że serce jéj schłodło dla męża, a rozgorzało miłością dla jego brata. Płomień ten grzeszny, tém trudniéj przygasić było, że obadwaj bracia Rachowie, w bardzo bliskich siebie miejscach przemieszkizawiadomił Żegotę o niewierności Halki. W rychle znalazł się drugi, co Sędziwoja ostrzegł, aby się miał na ostróżności przeciw zemście obrażonego brata. W Rachach krew nie woda, zawrzała i obydwa zbroić się przeciw sobie zaczęli. Halka sercem Sędziwojowi oddana dała mu się uprowadzić. Żegota zakipiał gniewem i boleścią,



Wzrok swój wlepiwszy, w cudną dziewkę płynęli na oślep.

wali, Żegota bowiem w Opoce, a Sędziwój w Rachowie. Żegota często dla zarządu chudobą żony do Słupi, nie odległéj wprawdzie więcéj jak o milę od Opoki, ale po drugiéj stronie Wisły położonéj wyjeżdżać musiał. Korzystali z tych wydaleń zakochani aby się widywać potajemnie.

Kiedy się do stadła trzeci wmiesza to już pewno że djabeł tam gości.

Pewnego razu, bies zapewne w postaci człowieka, bo człowiekby tego nie zrobił, lecz nie mógł nic przedsięwziąć, dopóki nie wystawił hufców mierzyć się z hufcami Sędziwoja mogących. Działo się to w czasie gdy biskup Stanisław ze Szczepanowa przyjechał do Piotrowina, który od niego dzierżawiła Anna z Odrowążów Rachowa, oddawszy ojczysty majątek Rachów i Opokę synom.

Zabolało srodze serce matki widząc nienawiść którą pałali przeciw sobie jéj synowie, skierowała zatem kroki do stóp święg-

tobliwego pasterza, błagając go o radę i pomoc.

Wzruszony jéj łzami biskup wyrzekł te słowa: „Spiesz matko do Rachowa, a gdy westchniesz do Boga o pomoc, prośba twoja wysłuchaną zostanie i nie przyjdzie pomiędzy braćmi do walki.“ Anna poszła spiesznie gdzie wskazywał biskup, w drodze dostrzegła zdala trzy hufce wojska, stojącego już pod bronią w szyku bojowym na powiślańskich wyżynach, na czele poznała syna swego Sędziwoja. Z drugiéj strony Rachowa, gdzie teraz las do wsi Opoki należący, ujrzała hufce Żegoty które się hałaśliwie ze Słupi przez Linów i Wisłę przeprawiały. Serce matki poznało że krew bratnia za chwilę przelaną być może, bo obaj szyki swe sprawiali. Ale i Sędziwoj po czarnéj szacie, poznał na wzgórzu stojącą matkę swoją. Widok matki któréj nigdy kochać i szanować nie przestawał, stojącéj w takiem miejscu, gdzie się zetrzeć swém wojskiem z wojskiem brata spodziewał, (bo to jedynie miejsce według ówczesnéj sztuki wojowania, do boju odpowiedniém uważać musiał), nasunął mu myśl, aby Halkę wysłać do niéj, z poleceniem iżby ją jakim podstępem lub proźbą z owego pagórka odprowadziła do domu. Halka podjęła się spełnić życzenie ukochanego, nieśmiejąc jednak zbliżyć się sama do rozżalonéj matki, wysłała najpierw do niéj, przyjaciołkę swą i powiernicę Martę, córkę pana z sąsiedniego Maruszowa. Marta zbliżywszy się do poważnéj wiekiem i rodem matrony, przemówiła nieśmiało: że jéj synowa Halka, błaga aby jéj pozwoliła osobiście prośby syna przełożyć. — A jakież to prośby syn mój zanosi, zapytała drżąca z boleści niewiasta.— Marta odrzekła, że idzie o to, aby pani Rachowa usunęła się z miejsca gdzie jéj grozić może nieszczęście, bo zabiera się na burzę, a pioruny zwykle w najwyższe uderzają miejsca. Przeniknęło serce matki że słowa Marty są wybiegiem i że pragną ją oddalić tylko aby niebyła świadkiem krwawego starcia obu synów. — Podziękuj Halce za jéj troskliwość, odrzekła, ale powiedz zarazem że jéj wcale widzieć nie pragnę. Jéj to nieszczęsna płochość jest przyczyną że dwaj rodzeni bracia przeciw sobie zbrojne wystawili szyki. Odkąd serce jéj opuściła wiara i cnota, stała się jako słaba łódka rzucona na Wisłę bez sternika, którą lada powiew wiatru z brzegu na brzeg przegania, a brak kotwicy i kierunku w biegu wstrzymać nie może. Wątły powój którego przeznaczeniem było otaczać silny dąb obok którego Bóg go stawił, zielonością swoją go ozdabiać a liśćmi wątłemi od burz tego świata zasłaniać, odsunął się od swéj podpory i dla tego nieuniknie kary Bożéj, bo powinien był stać na miejscu swego przeznaczenia, dopóki dąb podcięty toporem czasu nie runie. Co do mnie powiedz że nie odejdę ztąd, dopóki Bóg promieniem swéj łaski nieoświeci serc grzesznych i niewstrzyma bratobójczéj dłoni.

Gdy tych słów domawiała, hałas wojenny wzbił się w niebo od strony Opoki, a wkrótce od strony Sieciechowa dały się słyszeć podobne odgłosy. Marta odbiegła na stronę a serce matki silniéj bić zaczęło, zrozumiała bowiem że nadchodzi chwila walki, klękła więc i wzniosłszy ręce ku niebu, zaczęła spiewać hymn „Święty Boże“. Nagle zdało jéj się wśród tych modłów że słyszy głos z nieba „Prośba twa wysłuchaną będzie“ składając więc ręce dodała jeszcze z zapałem „Boże wstrzymaj bratobójcze dłonie, niechaj się raczéj w kamienie zamienią, wraz ze swemi szyki i tą która zgubną urodą rozum im odjęła, niż gdyby do boju między niemi przyjść miało.“

Zaledwie słów tych domówiła ściemniło się i ryknął grzmot straszliwy. Gdy za chwilę znów słońce wyjrzało z za chmury, nieszczęśliwa niewiasta patrzała chciwie, chcąc przeniknąć przez tumany kurzawy co się stało z wojskami, których kotłów i trąb wzywających do boju, ani rżenia lub tententu koni już nie słyszała. Z początku nic dostrzedz nie mogła, w końcu jednakże gdy lepiéj jeszcze wyjaśniło się niebo, ujrzała pagórek na którym stojącą Halkę i biegnącą ku niéj Martę widziała niedawno, kobiety stały w miejscu nieruchome i blade a biały rańtuch rąbkiem cieniutkim oszyty, którym cudna kibić Halki otoczoną była, wiatr ku Wiśle unosił i nikt aby go ująć ręki nie wyciągał.

Opadła w końcu kurzawa która przedtém zakrywała zbrojne szeregi; stały one także w miejscu, ale również nieruchome i

jakby jednym obleczone kolorem, szarego dębowego popiołu.

Zadrżała Anna, bo odgadła skutek swéj modlitwy.—Posunęła szybko daléj kroki i wkrótce dotykalnie przekonała się że Halka a przy jéj boku Marta, obaj synowie i ich wojska, rzeczywiście w kamień siwy się zmieniły. Padła na kolana jakby piorunem rażona, łza jednakże nie zabłysła w jéj oku, wyrzekła tylko: „Panie niech się wola Twoja święci, jam jest służebnica Twoja.“

I prosto ztamtąd podpierając się kijem pielgrzymim, poszła w góry Świętokrzyskie, i na téj górze, gdzie świeżo stanął kościół świętéj Katarzyny, w pustelni dni swoich świętobliwie dokończyła, ofiarując łzy, modlitwy i ostrą pokutę, za grzeszne dusze synów. W miejscu światowego imienia Anny, przybrała imie pokutującéj Katarzyny, na grobie gdzie jéj zwłoki spoczywają, stoi obecnie kościół i klasztor pod wezwaniem świętéj tegoż imienia, a dwa duże od innych bielsze kamienie, tuż pod Rachowem, tudzież trzy skamieniałe hufce z ich dowódzcami ku Sieciechowu, a dwa podobne ale nieco większe pod Opoką, dotąd na wierzchu w postaci siwych kamieni, gołemi bokami swiecą i świadczą, jak wielką jest potęgą błagalna modlitwa matki, aby dzieci jéj z drogi cnoty i miłości braterskiéj nie zboczyły. Podobnie skamieniałe ciała Halki i Marty, dotąd bieleją na wierzchu ziemi, a jako istny obraz niestałości niewieściéj, późniejsi dziedzice Rachowa w miejsce napisu jak to na grobowcach bywa, postawili wiatrak który ciągle swe skrzydła, jakby zalotne oczy to spuszcza to do góry wznosi.

Na tém kończy się opis zdarzenia tego które *Silva Rerum* w Chodlu z nad sygnaturki zrzucone, w sobie mieściło. Staranne poszukiwania w starych papierach przy kościele w Sieciechowie zachowanych, a daty dużo późniejsze noszących, wykryły:

Że dobra Rachów wówczas jeszcze należały do parafji Sieciechowa, a same żadnego kościoła nieposiadały; że jeden z dziedziców dóbr tych, Ossoliński, dla uwiecznienia pamięci zdarzenia, jakie tam za wstawieniem się świętobliwéj Anny miało miejsce, założył miasto i to Annopolem nazwał; a w tém samém miejscu, gdzie Anna klęcząc wznosiła modły o wstrzymanie bratobójczéj ręki, a które z pokolenia na pokolenie idącą tradycją, każdemu z dziedziców Rachowa znaném było, wystawił obszerną kaplicę, albo raczéj kościół, pod wezwaniem świętéj Anny i ten funduszem na utrzymanie kapelana uposażył.

Teraz kiedy fundusz powiększéj części gotowy, nie wzrastał w stosunku wzrostu kosztu utrzymania i potrzeb, które się więcéj niż potroiły, kościół ten swemi funduszami utrzymać kapelana nie jest w stanie, lecz dziedzic Rachowa przychodzi w pomoc i dostarcza funduszu na utrzymanie Bernardyna z klasztoru Józefowskiego, za którego klasztorowi w Józefowie złp. 300 rocznie, jak powiadają, opłaca.

Pisałem na kamieniu, który zapewne był rotmistrzem jazdy Sędziwoja, 18 Października 1861 roku.“

Nie od rzeczy będzie uczynić tu wzmiankę o kościele Chodelskim w r. 1430 erygowanym. Gmach ten w stylu gotyckim jest wielce szacownym zabytkiem zdobnéj architektury początków XV wieku. Otóż to po erekcji kościoła tego, ówczesny proboszcz przywiózł z sobą na nowe probostwo z powiśla, gdzie przy jednym z okolicznych kościołów doczekał się poważnéj siwizny, owe *Silva Rerum*, z którego ułamek wyżéj przytoczyłem, a przy schyłku dni swoich, takowy umieścić nad sygnaturką zalecił. Kościół Chodelski, jak świadczy wizyta onego w roku 1781 dopełniona, w aktach konsystorza lubelskiego znajdująca się, mieści w skarbcu swoim pamiątkę, dużo dawniejszych sięgającą czasów, od tych, w których zrzucony z wieży manuskrypt, był pisany.

Co więcéj, pamiątka ta albo raczéj zabytek sztuki złotniczéj, dawniejszym jest nawet od zdarzenia wyżéj z *Silva Rerum* wypisanego, albowiem skamieniałość wojsk braci Rachów mogła mieć miejsce między rokiem 1050 a 1075, gdy tymczasem kielich pierwiastkowo do kościoła filialnego w Ratoszynie, przez Krzysztofa Skrzynieckiego w r. 1010 był ofiarowany. Kto wie czy to nie jest jeden z najdawniejszych tego rodzaju zabytków, nie wiele późniejszych od wprowadzenia do Polski wiary Chrześciańskiéj. *Barnaba Starowiejski.*“

P. S. Według świeżo powziętéj od władzy miejscowéj miasta Annopola wiadomości, we wsi Jakubowicach do dóbr Rachowa należącéj, jeszcze w r. 1853 żył włościanin późną starością ubielony, nazwiskiem Szot. Włościanin ten zapytany przez tego którego wiózł z Rachowa do Sieciechowa, po co go tak kamienistą drogą wiezie skoro musi być inna jaka lepsza droga, w miejsce odpowiedzi zdjął czapkę i zaczął mówić pacierz. Po skończonym pacierzu dopiero rzekł: iż nic to nie szkodzi że tędy drogą bliższą pojechał, byle co należy zrobił, bo można tędy bez złéj przygody jechać, byle zmówić pacierz za duszę tych co tu zaklęci spoczywają, a daléj pytany objaśnił, iż leżące tam kamienie są to zaklęte w dawnych czasach przez czarnoksiężnika wojska, który zamieniając ich w kamienie miał przekląć, iżby ich głowy wiecznie z ziemi wyglądały i kołami przejeżdzających niepokojone były.

Z tego pokazuje się że i na miejscu istnieje tradycja o skamieniałych wojskach, a lubo nie mieści ona tyle szczegółów co wynalezione *Silva Rerum*, zgadza się jednak z takowém co do saméj treści, że kamienie po grzbietach wysokości tamtejszych leżące są skamieniałemi wojskami.

WSPOMNIENIA HISTORYCZNE

Z MIESIĄCA MAJA.

Dawne kroniki, (Bielskiego i Gwagnina) wspominają że Bolesław Chrobry zdobył Kijów dnia 2 Maja, (1005 roku). W kilkadziesiąt lat późniéj, (1079 r.) w dniu 8 Maja, przypadła śmierć męczeńska Stanisława ze Szczepanowa, biskupa krakowskiego, którego czcimy jako patrona Korony naszéj. Tegoż dnia i miesiąca, (1765 r.) Stanisław August Poniatowski ustanowił order Śgo Stanisława.

— 31 Maja 1434 r. umarł w Gródku Wł. Jagiełło po 48 letniém panowaniu, ciało jego pochowano w Krakowie. Zgromadzeni pod ów czas na Soborze w Bazylei biskupi, odprawili tamże za duszę króla polskiego solenne nabożeństwo.

— 10 Maja 1480 roku, przypadła śmierć Długosza, słynnego kronikarza i zacnego mistrza Kaźmierzowych synów. Jan Długosz z Niedzielska, kanonik krakowski, nominat arcybiskup lwowski, gdy młodzieniaszkiem jeszcze będąc chodził na Krakowską wszechnicę, pilnością i bystrym rozumem zwrócił na się uwagę kardynała Zbigniewa. Ukończywszy nauki, pod jego bokiem wprawiał się do pióra, późniéj zaś okazawszy chęć do duchownego stanu, kapłańskie przyjął święcenie. Niezadługo został kanonikiem krakowskim, następnie zaś sandomierskim i wiślickim kustoszem. Dochody które posiadał w ówczas, obrócił zaraz Bogu na chwałę i na pomoc biednym. Wzniósł kościoły w Kłobucku i w Sandomierzu, w Krakowie zaś na Skałce w miejscu drewnianéj, murowaną zbudował świątynię. Kollegiacie w Wiślicy wspaniałe poczynił dary, ufundował bursę zwaną prawników, w któréj młodź ubogą prawa kościelnego i koronnego uczono. Kazimierz Jagiellończyk oceniając naukę i cnoty bogobojnego kapłana, uczynił go nauczycielem swych synów. Gdy późniéj najstarszy z królewiców Władysław, zasiadał na czeskim tronie, ofiarował Długoszowi Pragskie arcybiskupstwo, lecz tenże nie pragnąc dostojeństw kościelnych, odmówił owego dostojeństwa. Nie przyjął również podkanclerstwa i podskarbstwa W. Koronnego, które mu przeznaczał król Kazimierz, chcąc wolne chwile od obowiązków kapłańskich poświęcić jedynie spisywaniu dziejów ojczystych. Swiadomy dokładnie spraw krajowych, wysełany bywał w poselstwach do obcych krajów. Przy schyłku życia będąc w Rzymie, udał się ztamtąd do ziemi świętéj, aby zwiedzić pobożnie grób Zbawiciela. Za powrotem do kraju nominowany na arcybiskupstwo Lwowskie, nie chciał go przyjąć mimo nale-

gań króla i spór z tego powodu, roztrzygnął się wkrótce śmiercią pokornego kapłana. Cały żywot Długosza świadczy wymownie o jego cnotach, gdyż ostatnie nawet chwile poświęcił czynom miłosierdzia, rozdając ubogim mienie jakie posiadał. Ksiądz Łętowski w katologu biskupów temi słowy maluje go jako pisarza. „Można mieć bezwątpienia więcéj talentu od Długosza, lecz niepodobna więcéj rozumu i serca.“

— 16 Maja 1561 roku, umarł w dobrach swych Wiewiórce pod Tarnowem, mąż wielki w boju i radzie, hetman Jan Tarnowski Ukończywszy nauki w młodzieńczym jeszcze wieku, dowodził dzielnie pod Orszą hufcem złożonym ze szlacheckiéj młodzi. Obznajmiwszy się potém przez lat parę ze sprawami kraju umyślił zwiedzić obczyznę. Złożywszy najpierw hołd pobożny u grobu Zbawiciela i zwiedziwszy Grecją, Włochy i Hiszpanją udał się do Portugalji, gdzie właśnie król Emanuel wiódł boje z Maurami. Młody Tarnowski jak na chrześcijańskiego rycerza przystało, ofiarował mu swą dzielną prawicę i wkrótce tak się odznaczył że go ogłoszono wodzem znacznéj części wojska. Wdzięczny król zaś w dowód szacunku, obdarzył go cennym pod ów czas u cudzoziemców tytułem hrabiego. Mimo hołdów jakie odbierał na obcéj ziemi nie mógł w niéj długo pozostawać Tarnowski, bo prawemu polakowi rodzinny zakątek milszym był wówczas nad obce zaszczyty. Powrócił więc do ojczyzny obracając drogę na Anglję i Francję. Skoro tylko zamieszkał w kraju, wszystkie życia chwile poświęcił na jego usługi. Król Zygmunt I szy oceniając męztwo i mądre rady wielkiego obywatela obdarzył go kasztelanją Wojnicką, wyniósł na ruskie krzesło i w ręce jego złożył W. Koronną buławę. Dalszy żywot Tarnowskiego rozwija się na tle dziejów naszych w których nie jedna karta opowiada jego zasługi. Umierając pozostawił dwóch synów, starszy z nich z Barbary Tęczyńskiéj, umarł młodo proboszczem w Krakowie, młodszy zaś Jan Krzysztof, z drugiego małżeństwa z Zofją Szydłowiecką, ożeniony z Odrowążówną, córką Anny księżnéj Mazowieckiéj i wojewody ruskiego, nie pozostawił potomstwa; odzieczyła po nim dobra Tarnowskie siostra, Zofia księżna Ostrogska.

— 20 Maja 1648 roku umarł w Mereczu Władysław IV; żył lat 52, a panował 16. *A. z Ch. Borkowska.*

KAROL DICKENS I JEGO POWIEŚĆ O DWÓCH MIASTACH.

Nie podlega wątpliwości, że odkąd powieść zaczęła rozszerzać swe ramy, odtąd inne gałęzie nadobnego piśmiennictwa straciły wiele na sympatji w umysłach czytającego ogółu. Cóż bowiem może być lżejszego do czytania nad powieść, która rozśmieszy lada jakim dowcipem, zaciekawi intrygą, a nie wymaga pozornie ani wielkiego skupienia uwagi, ani głębszych studjów lub wrodzonego artystycznego zmysłu do jéj zrozumienia? Jeżeli zaciekawi na chwilę czytającego, zadowolenie jest już zupełne i nie żądają od niéj niczego więcéj, ale jak prędko ją przetrawili, tak też prędko rzucą i zapomną, boć autorowie sypią powieści jak z za rękawa, a ogół pragnąłby przeczytać i pochłonąć jak najwięcéj. Jest niezaprzeczenie wielka gorączka w osobach piszących, tak wielka, że nawet ludzie z istotnym talentem przyznają się do tego, że ich jakiś duch demoniczny nagli do pośpiechu, pomimo że pojmują wysokie przeznaczenie sztuki i powołanie pisarza i choć wiedzą dobrze, że prawdziwe arcydzieła były zawsze, są i będą owocem prawdziwego natchnienia i trudu. Toż samo można powiedzieć o czytelnikach; wszyscy czytają jak najśpieszniéj, nie zastanawiając się bynajmniéj ani nad dążnością, ani nad wykończeniem artystyczném dzieła, a czy utwór zostawi w umyśle i sercu niezatarte wrażenie, czy da się przeczytać z przyjemnością dwa lub trzy razy, oto, ani pytaj nikogo, bo o tém nikt nie myśli, a nawet tu i owdzie dają się słyszeć głosy że autorowie piszą powieści w chwilach odpoczynku

dla własnéj zabawy i pustéj rozrywki czytelników, że dość jest, jak to mówią mieć trochę zdrowego sensu w głowie ażeby napisać powieść, któraby odpowiadała wymaganiom ogółu. I w saméj rzeczy, że ogół nie jest wymagającym, że często mierne utwory z ogromnemi przyjmuje oklaskami, o tém przekonywa nas niemal codzienne doświadczenie, ale z drugiéj znów strony, ludzie pojmujący prawdziwe przeznaczenie sztuki, gorszą się takowém zepsuciem dobrego smaku i całe złe ztąd wynikające przypisują formie powieści. Tamci pragną lekkiéj dla swojego umysłu strawy, a nieznajdując jéj w klassycznych dziełach i w ogóle w utworach poważniejszéj formy i treści, przekładają nad wszystko powieść i domagają jéj się koniecznie, ci znów jako strażnicy sztuki, z pogardą patrzą na nędzne ramoty lub niewykończone dzieła, któremi karmi się ogół, radziby nazawsze wymazać powieść z literatury i oddawna przepowiadają jéj skon bliski, a przecież dotąd autorowie jak pisali tak piszą, a ogół rozrywa ich utwory i czyta ciągle.

Nie podlega wątpliwości że zarzuty które czynią teraźniejszéj powieści są słuszne i nawet bardzo słuszne, ale zachodzi tu pytanie czemu winę przypisać należy: czy saméj formie powieści czy też autorom? Otóż powiemy naprzód, co do formy powieści, że uważamy ją za najwłaściwszą w dzisiejszéj epoce. Przy nagłem upowszechnieniu oświaty ten rodzaj nadobnéj literatury ma wielkie znaczenie i może ogromne przynieść usługi. Filozofja, historja, kwestje społeczne i w ogóle najwięcéj obchodzące ludzkość zadania, mogą się pomieścić w jéj ramach, nadto powieść może odwzorowywać wady społeczeństwa i wtenczas zastąpi komedję, może być poetyczną jeżeli zadość uczyni wszystkim warunkom piękna w sztuce, bo wszakże Don Kiszot Cerwantesa i Wawerley Walter Skotta, zarówno jak pan Tadeusz Mickiewicza, każdy z tych utworów w wiązanéj czy niewiązanéj mowie, jest powieścią i epopeją zarazem. W żadnym razie nie możemy uważać powieści za nowy nabytek, ma już ona oddawna prawo obywatelskie w literaturze, bądź pod nazwą romansu, nowelli, legendy, czy też poematu, z tą tylko różnicą że nasza dzisiejsza powieść zrzuciła ostatecznie pęta miary i rymu.

W każdéj epoce, ten lub ów rodzaj literatury grał przeważną rolę i tak w Anglji, w połowie XVII stulecia była potrzeba czy też monomanja dramatu, dość że wszystkie wyższe i niższe talenta popisywały się na tém polu, rozumie się że ztąd powstał chaos ogromny, bo jak teraz do pisania powieści, tak wtedy do dramatu było dużo wezwanych, ale mało wybranych.

Ztąd wypływa widoczna szkoda dla ogółu którego smak się kazi przez czytanie rzeczy miernych, ale jest także szkoda dla autorów, którzy uwiedzeni gwałtownym prądem wymagań swojego wieku, marnują zdolności częstokroć w niewłaściwéj sferze. W naszéj epoce, przemysłowa ogólna dążność silnie bezwątpienia oddziaływa na obecny kierunek piśmiennictwa, albowiem jeżeli zastanowimy się nad tém, jak mało prawdziwych wydobywa się pereł z tego niezmierzonego oceanu literackich nowości, przyznać musimy że po większéj części z wysokiego zawodu pisarza i posłannictwa sztuki zrobiono proste rzemiosło i że łatwa forma dzisiejszéj powieści, dopomaga dziwnie do rozwinięcia tego pseudo - artystycznego przemysłu. Ale może kto odpowie, że jak świat jest stary tak zawsze obok prawdziwych arcydzieł wychodziło dużo mierności; nie przeczę temu bynajmniéj, ale twierdzę tylko, że nigdy świat literacki niedoświadczył tak wielkiéj pokusy i że złe ztąd wynikające jest do pewnego czasu nie do uniknienia. Ludzie lubiący się bawić w przepowiednie, wróżą koniec powieści, ale ci jak po większéj części prorocy teraźniejsi nierozwiązują zupełnie zagadki, bo radzibyśmy zapytać się ich tylko, jaką formę piśmiennictwa uważają za najodpowiedniejszą wymaganiom czasu? Odpowiedzą może że dramat powinien zastąpić powieść nowoczesną, ale wystawmy sobie powstające na raz jeden tysiące prowincjonalnych teatrów, które zarzucają nagle miljonami utworów miernéj i bardzo miernéj wartości, i powiedzmy czy te pseudo - dramata powstałe na zgliszczach powieści, nie przyczyniłyby się raczéj do zaćmienia niż oświecenia ogółu? Powtarzamy to raz jeszcze, że formę powieści za najodpowiedniejszą

w danéj uważamy chwili, bo bądź co bądź, nikt pewnie nie zaprzeczy temu, że powieść współczesna zaznajamia nas z obyczajami, potrzebami i dążnością każdego narodu i że wraz z innemi pomocniczemi środkami które są dziełem naszego wieku, przyczynia się do wymiany idei, przez co rozprzestrzenia się ogromnie widnokrąg naszych pojęć. Nadto, dodamy jeszcze, że z tego morza miernych utworów wystają dzieła znakomitéj wartości i te prędzéj czy późniéj roztworzą oczy czytającemu ogółowi, który odrzuciwszy plewy na stronę, wybierze dla siebie pożywne ziarno i przekaże go potomności. Ale nim to nastąpi, potrzeba ażeby pierwéj sąd ogółu wykształcił się i spoważniał na lepszych daleko wzorach od tych, któremi się karmi dotąd, a to zaś może dopiero mieć miejsce w przyszłości i wtedy właśnie, kiedy pod wpływem czasu zaczniemy roztrząsać sumiennie i bez namiętności płody dzisiejszych pisarzy, a wyprowadzone z tego krytycznego sądu porównanie, będzie miarą wartości utworów o których opinja ogółu wyrokować już będzie, a kiedy jedne na wieczne skazane zostaną zapomnienie, wtedy drugie doczekają się zupełnego uznania i jako wzory dobrego smaku, zajmą poważne i trwałe miejsce w Panteonie sztuki.

Powiedzieliśmy wyżéj że forma powieści jest łatwa, ale mówiąc to mieliśmy na uwadze względne tylko jéj stanowisko w obecnéj dobie, to jest, widzieliśmy powieść taką jaką jest w ogóle, a nie taką jak być powinna. Inaczéj zupełnie ta rzecz się przedstawi, jeżeli ograniczymy powieść warunkami sztuki, wtedy przyznać wypadnie, że o prawdziwie dobrą powieść jest bardzo trudno.

Autor powieści ma wielki przywiléj którego nie posiada pisarz dramatyczny, że nie potrzebuje ograniczać się czasem i może dowolnie rozszerzać ramy swego utworu, ale po za obrębem tego, główne warunki sztuki jak w powieści tak w dramacie są też same. Głównem zadaniem jak autora dramatycznego tak powieściopisarza, ma być umiejętne wykończenie charakterów, w których powinien przeprowadzić całą filozofję życia i serca ludzkiego, zaczém nie dość jest wykazać rany i choroby społeczeństwa, potrzeba nadto wyjaśnić przyczyny i skutki tych objawów, a jak wżyciu ludzkiém każdy fakt najmniéj napozór znaczący jest w związku z tém wszystkiém co nas otacza, tak też w dziele sztuki jedno z drugiem łączyć się i oddziaływać wzajemnie powinno.

Nie bez przyczyny mędrzec grecki w trzech wyrazach: *Znaj siebie samego* zamknął całą filozofję życia, ależ te słowa tak proste i zrozumiałe, różnie przez różnych tłómaczone bywają. Niektórzy sądzą że zręczne pochwycenie oderwanych rysów i faktów życia jest już poznaniem człowieka, ale zapominają zupełnie że nie sama znajomość faktów, ale dopiero wszechstronny filozoficzny pogląd na te objawy, jest prawdziwą umiejętnością.

Najwięksi poeci jak Szekspir lub Kalderon, wydobywali najaw najskrytsze tajniki serca człowieka i są, że tak powiemy tłómaczami jego wewnętrznéj duchowéj strony powierzchowne rysy społeczeństwa, choćby z największą odwzorowane były prawdą, nie są wcale najwyższém zadaniem sztuki. Otóż jak w każdéj nauce, tak też w sztukach pięknych, wyższy filozoficzny pogląd jest nieodzownie potrzebny, bez niego bowiem nie ma ani sztuki, ani prawdziwego piękna. Jak połączenie ducha z materją jest podstawą naszego bytu, tak samo w dziedzinie sztuki, zespolenie tych dwóch pierwiastków może dopiero nadać prawdziwe życie każdemu dziełu. W tym wyższym poglądzie na fakta, a zatém w idealnym sposobie ich przedstawienia, zawiera się ta część duchowa utworu, którą nazywamy dążnością, ależ ten wyraz dążność tak obszerne ma znaczenie, a tak różnie bywa tłómaczony, że musimy zastanowić się nad nim na chwilę. Niektórzy pisarze przyczyniają się do rozkrzewienia błędnych wyobrażeń ogólném orzeczeniem, że wszystko co jest pięknem w sztuce, posiada już tém samém zacną i wysoką dążność. Orzeczenie to może w części mieć nawet słuszność za sobą, ale należy dodać, że jak w dziejach ludzkości tak samo w dziedzinie sztuki, zmieniają się wyobrażenia z postępem czasu, ze wzrostem człowieka, którego idee rozwijają się i dojrzewają ciągle. Razem więc ze zmianą wyobrażeń o zadaniu

sztuki, musi przekształcać się także dążność dzieła, które ma być wskazówką moralnego postępu wieku. Porównajmy utwory największych greckich i chrześcijańskich wieszczów, a przyznamy że chociaż arcydzieła pierwszych pozostaną na zawsze niewyczerpaną skarbnicą, jako nieśmiertelne wzory pod względem wykończenia i formy, ale wyższy pogląd, o którym mówimy, ta dążność która jest duchem i prawdziwém życiem dzieła, oddzielać nas zawsze od nich będzie całą przestrzenią czasów i pojęć. Anakreon jest wprawdzie wielkim poetą, jakoż obrazy zmysłowéj rozkoszy, które ów mistrz grecki rozwija z taką potęgą i wdziękiem, nie mają nic w tym rodzaju równego w sztuce nowoczesnéj, ale też wielkim chrześcijańskim poetą nie może być Anakreon, lecz tylko Kalderon lub Dante. Nie przeczymy że i świat chrześcijański mieć będzie zawsze poetów, którzy negacjiną tylko stronę ludzkości odwzorowywać w swoich utworach będą, ale dzieła pogańską noszące cechę, niezrosną się z naszém życiem, i chociażby były płodem pióra genjuszu, będą zawsze dla oczów potomnych martwą literą w Panteonie sztuki. Utwór taki, jak np. *Don Żuan* lorda Bajrona, posiada wszystkie warunki sztuki; jest tam wyborne chociaż jednostronne odwzorowanie ducha epoki, są tam obrazy godne pióra Anakreona, słowem posiada wszystkie zalety prawdziwego arcydzieła, prócz wszechstronniejszego poglądu i wyższéj moralnéj dążności.

Ale wróćmy się do założenia od którego odbiegliśmy trochę. Otóż powtarzamy że jak od dramatu tak też od powieści żądamy dzisiaj dużo i bardzo dużo, a zatém jeżeli rozpatrzymy się dobrze w utworach które nam podają i odrzucimy mierności na stronę, wtenczas nie wiele zostanie się utworów, któreby mogły dla naszego umysłu i serca prawdziwy przynieść pożytek

Na czele powieściopisarzy angielskich wypada niezaprzeczenie postawić Karola Dickensa. Autor ten najzasłużeniéj zdobył wysokie stanowisko, które zajmuje w dzisiejszém piśmiennictwie, bo wysoki pogląd na życie w połączeniu z moralną dążnością cechuje wszystkie jego utwory. Czy maluje zbytek lub nędzę, czy odwzorowywuje obrazy cnót i poświęceń lub zbrodni i występków, wszędzie widać baczne oko i serce poety, który pierwéj ukochał ludzkość nim przystąpił do odkrycia jéj ran i bólów. Czy w powieści o rodzinie *Nickleby*, gdzie rozwija autor całą panoramę społeczeństwa angielskiego, czy w fantastyczném opowiadaniu *o Cudownym dzwonie*, wszędzie jedna i ta sama dążność podniesienia i uszlachetnienia nędzy przewodniczy od początku aż do końca dzieła. Dickens posiada w wysokim stopniu zmysł artystyczny który prawie nigdy go niezawodzi, skoro maluje szlachetne natchnienia i zacne popędy serca. Kiedy niektórzy znani pisarze francuzcy w celu wywołania sztucznego efektu, wyprowadzali na scenę niby idealne postacie, a w rzeczy saméj dziwolągi bez krwi i ciała, Dickens przeciwnie, niezapomina że zasadą sztuki powinna być prawda, a naijdealniejsze jego postacie, mają tło pełne rzeczywistości i prostoty. Nieporzucając nigdy zasady którą ukochał, Dickens przeprowadza swoją ideę w każdym niemal utworze, ale nie ogranicza się na zdejmowaniu wizerunków z jednéj tylko warstwy społeczeństwa, bo mistrz powieści rozumie dobrze że wszystko co żyje na tym bożym świecie, każda część tego organicznego ciała które się zowie ludzkością, łączy się jedna z drugą i potrąca wzajemnie. Autor *Copperfielda* umie czasem pochwycić ujemną stronę społeczeństwa, jak np. w zarysach życia lichwiarza, w postaci Ralfa Nickleby, lub w powieści Zegar pana Humfreja (Master Humphrey's Clock), w krótkiem opowiadaniu skazanego na śmierć zbrodniarza, gdzie zamyka całą legendę życia i prawdziwie po mistrzowsku odsłania najskrytsze sprężyny złego. A w tem opowiadaniu o cudownych dzwonach (The chimes, goblin story of some bells that ring the new year in aud ont), jakże poetyczny jest obraz tego nędzarza, który w ciągłéj walce z losem, słucha głosu znajomego dzwonu, którego dźwięk wlewa otuchę do jego serca i dobre w niém budzi natchnienia. Nie dziwim się wcale że odgłos tego dzwonu, odbił się echem w tysiącach serc czytelników i że powieść ta wielkiego doznała powodzenia.

Ze względu na całość utworu, posta-

wimy trzy powieści na czele: Kopperfild, Zegar pana Humfreja i powieść o dwóch miastach. Wspomniane powieści odznaczają się artystyczném wykończeniem, którego brak czuć się daje w innych dziełach Dickensa. Powieść o rodzinie Nickleby z wielkim jest napisana talentem, ale grzeszy jéj autor zbytnią przesadą niektórych scen i charakterów. Zamierzył w wymienionéj powieści poeta, wyprowadzić na scenę wszystkie warstwy społeczeństwa, jakoż bakałarze, aktory, lichwiarze, kupcy, dżentlemeni i nareście członkowie parlamentu, biedne szwaczki i damy wielkiego świata, słowem wszystkie stany składają się na utworzenie téj różnobarwnéj mozaiki; za wyjątkiem jednak rodziny Nickleby, mianowicie młodego Mikołaja i stryja jego Ralfa, których charaktery są dobrze skreślone i utrzymane do końca, inne postacie rażą zbytnią jaskrawością konturów. Bakałarz i jego żona za nadto potwornie są odrysowani, a historja pijanego lorda i młodéj biednéj dziewczyny, razi pospolitością kolorytu i najmniejszego niedaje wyobrażenia o téj warstwie społeczeństwa, którą chciał autor przedstawić.

Powieść Bleakhous, znana w polskiém tłómaczeniu pod napisem *Pustkowie*, grzeszy także brakiem artystycznego wykończenia, choć dzieje procesu, który zapełnia całe ramy jéj, obfitują w sceny pełne treści pod względem szczegółów, w których Dickens jest zawsze nieporównanym mistrzem.

W ogóle można powiedzieć że Dickens celuje przedewszystkiem w opisach, pod jego piórem przedmioty martwe nabierają życia, a opisy zewnętrznego świata dziwnie harmonizują z każdą sceną którą ma rozwinąć. Powiemy nadto, że daleko lepiéj studiuje autor charaktery kobiét, młodych ludzi i nareście niższych warstw społeczeństwa, w opisach zaś aldermanów i lordów wpada często w przesadę i mija się zupełnie z prawdą. To téż jako wolne od powyższych zarzutów wymieniamy dwa dzieła na czele utworów Dickensa, to jest Kopperfilda i powieść o dwóch miastach. Wprawdzie i tam jak wszędzie, w każdym z utworów tego poety, najwydatniejsze te postacie, które on otacza aureolą cierpienia lub cnoty.

Zanim przejdziemy do przeglądu ostatniéj powieści Dickensa (A Tale of two Cities), napomkniemy pierwéj, że ten znakomity pisarz angielski urodził się 1812 r. a zawód swój literacki zaczął od 1837 roku w którym wydał pierwszą powieść pod napisem *Pick wick club*, następnie aż do roku 1856 wydawał prawie bez przerwy wiele powieści i szkiców, z których wymienimy: Oliwer Twist, Nickleby, Master, Humphreys Clock, Martin Huzzlewit, Dombey and son, David Copperfield, Bleak house, Hard Times (ciężkie czasy), Novels and Tales i t. d. tak więc w przeciągu niespełna dwudziestoletniego zawodu tego poety, wyszło na świat z pod jego pióra więcéj niż czterdzieści tomów. Można zrobić także zarzut Dickensowi wielkiéj płodności, która jest bezwątpienia plagą dzisiejszego piśmiennictwa, i ztąd to pochodzi może brak artystycznego wykończenia, w niektórych utworach tego znakomitego pisarza.

Oprócz wydanych na świat wspomnianych wyżéj powieści, przysłużył się Dickens literaturze wydawnictwem zbiorowego pisma, które pod nazwą: Houschold Words, wyszło w 35 tomach, oprócz historji Anglji opowiedzianéj przez Dickensa, z właściwym mu wdziękiem obrazowania, mieści się tam wiele różnéj treści artykułów, nauczających i dostępnych dla wszystkich warstw społeczeństwa.

Wostatniéj swojéj powieści (A Tole of two Cities), usiłował autor rozwinąć dzieje walki społecznéj; ogromne to jest zadanie, a potrzeba wielkiéj potęgi ażeby módz wyjązać się z niego należycie. Niepowiemy, ażeby obraz, który nam narysował Dickens, obejmował całą przestrzeń ogromnego pola społecznéj bitwy, ani żeby głębszy filozoficzny pogląd rozświetlał widnokrąg téj czarnéj nocy, która się zowie rewolucją, owszem, nie wznosi nas autor wcale nad poziom ludzi i wypadków, ale odkrywa nam tylko niektóre sprężyny rewolucyjnego działania z wielką trafnością, jak np. w rolach podżegaczów do walki i zemsty, w postaciach pana i pani Defarge i w ślepéj uległości tłumu posłusznego każdemu skinieniu tych indywiduów, które nim kierują. Główną zaletą tego utworu jest artystyczne wykończenie, które go stawia wyżéj

od dawniejszych dzieł Dickensa. Pani Defarge jest wyborném uosobieniem téj nienawiści i zemsty, która tylko widokiem krwi i mordów żyć i oddychać się zdaje. Dobrze jest również skreślony charakter ajenta banku Tellsona, nazwiskiem Lorry; jest to typowa postać człowieka, który pod zimną powierzchownością ukrywa serce pełne ognia i szlachetnego zapału. Toż samo można powiedzieć o innych osobach téj powieści. Znajdą się tu także usterki, od których nie są wolne najznakomitsze utwory i tak np. charakter Ewremonda nie jest dość dobitnie rozwinięty i wykończony, stosownie do roli, którą mu naznacza autor. Moglibyśmy także zarzucić autorowi że niektóre rysy zanadto są znowu jaskrawe i nie przystają do głównego tła obrazu. Ale całość dzieła, ze stanowiska wymagań sztuki uważana, znakomite utworowi niniejszemu zapewnia miejsce w dziejach współczesnéj powieści. Prawda i bogactwo fantazji w opisach, wiele siły i dramatyczności w pojedynczych scenach, nareszcie konsekwentne przeprowadzenie i utrzymanie do końca charakterów kilku głównych osób powieści, oto są zalety utworu, który podajemy naszym czytelnikom w streszczonym przekładzie.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

Przywrócony do życia.

I.

Była to epoka wielkiego dobrego i złego, mądrości i głupstwa, wiary i niedowiarstwa, epoka światа i ciemności; pora wiosny, nadziei, zimy i rozpaczy; mieliśmy ogromną przyszłość przed sobą, to znów jak gdyby próżnia była przed nami, rzekłbyś że dążyliśmy prosto ku niebu, lub znów zupełnie odwrotną obieraliśmy drogę, słowem, epoka ta tak była podobna do naszéj, że według zdania ludzie tego wieku, którzy największą mają powagę za sobą, tak jest wielkie zbliżenie tych dwóch okresów, że różnica pomiędzy niemi, znajduje się tylko w stopniu, który wynika z porównania tak złego jako też i dobrego.

Było to roku pańskiego tysiąc siedmset siedmdziesiątego piątego.

We Francji jako też w Anglji mężowie stanu najmocniéj przekonani byli, że sprawy narodów ułożone już są na zawsze. Francja ślizgała się gładko po murawie ze wzgórza, nagromadzając ogromną ilość papierowych pieniędzy i rozrzucając je hojnie. Wierna tradycyjnym przesądom wznawiała fanatyczne prześladowania i niby strzegąc praw moralności i wiary, karała srodze na stosie i na torturach mniemane wykroczenia przeciwko religji. Ale według wszelkiego prawdopodobieństwa, na grobach zamordowanych ofiar wzrastały już wtedy w lasach Francji i Norwegji drzewa, naznaczone już przez leśnika, którego nazwiemy losem na materjał tego narzędzia, które opatrzone mieczem, tak pamiętną i straszną kartę zajmuje w dziejach. Nie podlega wątpliwości, że w tym samym czasie w nędznych stodołach w okolicach Paryża, ukryte były przed niepogodą obrzucone błotem wozy, które ów dzierżawca co to się nazywał śmiercią, poustawiał na stronie i przeznaczył do użytku rewolucji. I leśnik i dzierżawca pracowali ciągle, ale w takiém milczeniu, że nikt nie dosłyszał jak krzątali się w ukryciu około owéj roboty, tém więcéj, że najmniejsze przypuszczenie jakoby już oni przebudzili się ze snu, było poczytywane za ateizm i straszną zdradę. Podobnież w Anglji stan wewnętrznego porządku i spokojności publicznéj, nie usprawiedliwiał w niczem narodowych przechwałek. Co noc każdą powtarzały się w mieście rozboje grabieże i złodziejstwa. Osoby wydalające się z miasta były ostrzegane przez ogłoszenia publiczne ażeby wynosiły sprzęty z domów i oddawały je pod dozór. Kupcy trudnili się w dzień handlem a prowadzili rzemiosło rozbójników w nocy. Powozy pocztowe rozbijali wszędzie po drogach. Raz lord major Londynu zatrzymany został przez złoczyńcę, który w obliczu całego orszaku obdarł jego prześwietną osobę. W więzieniach londyńskich przychodziło nieraz do walki pomiędzy więźniami a ich stróżami, a obrońcy prawa strzelali do nich kulami. U dworu nawet, w królewskich komnatach, złodzieje zdzierali lordom krzyże brylantowe z piersi. W takim

stanie rzeczy kat i oprawcy byli wielce czynnemi, raz wywieszali długi rzęd złoczyńców, raz palili ludzi całemi tuzinami w Newgate, to znów niszczyli stosy pamfletów u drzwi Westminsterskiego pałacu, jednego dnia wykonywali wyrok śmierci nad zatwardziałym zbrodniarzem, innego znów odebrali życie biednemu łotrowi, który synowi dzierżawcy ukradł sześć pensów.

Takie to wypadki i tysiące tym podobnych miało miejsce w przeciągu tego poczciwego tysiąc siedmset siedmdziesiątego piątego roku. Kiedy więc leśnik i dzierżawca wzmiankowani powyżéj przygotowywali swoje dzieło w milczeniu, w obydwóch krajach, w kole tych wydarzeń, ich królewskie wielkości stąpały poważnie nie bez wystawy i hałasu, trzymając w dłoniach wodze téj władzy, którą z boskiego posiadali ramienia. Tak rok ten tysiąc siedmset siedmdziesiąty piąty prowadził ich wielkości a zatém tysiące także drobnych istot ku nowym drogom, które leżały przed niemi.

II.

Na trakcie pocztowym z Dowru, w ostatnich dniach miesiąca listopada znajdował się podróżny, który jest jedną z osób działających w naszéj powieści. W téj właśnie chwili jego powóz pocztowy przybliżał się zwolna do szczytu wzgórza. Nie tylko nasz podróżny ale i wszyscy inni passażerowie szli pod górę piechoto obok powozu, nie dla tego zapewne, ażeby czuli potrzebę użycia przechadzki, ale raczéj że wielce przykry pagórek w połączeniu z błotem i z ciężarem pojazdu, tak źle oddziaływał na usposobienie koni, że biedne istoty kilka razy zatrzymały się na miejscu, a raz nawet powzięły hardy zamysł zawrócenia ku Blackheatt i w tym celu zukręciły już powóz na stronę; ale deszcz, okrzyk konduktora, a szczególniéj bicz pocztyljona najsilniéj zaprotestował przeciwko zasadzie jakoby niektóre zwierzęta obdarzone były rozumem i tak upokorzył zbuntowane istoty że nie opieraly się dłużéj i wzięły się znów do pełnienia obowiązku.

Mgła gęsta tak zakrywała wszystko przed oczami podróżnych, że jeden z nich nie mógł rozpoznać drugiego ani żadnego przedmiotu na drodze. Wszyscy podróżni byli starannie poobwijani płaszczami, a ręczyć można za to śmiało, że każdy z nich był jak dla oczów duszy tak samo dla oczów ciała dwóch pozostałych towarzyszów zupełnie zagadkową, nieznaną osobą.

W téj epoce rozbojów, każdy z podróżnych dawał wielkie baczenie na najmniejszy znak niebezpieczeństwa i był przygotowany do obrony. Jeżeli bowiem nie tylko gospody ale domy nawet pocztowe pełne były złodziei lub ich wspólników, nie mniéj podejrzanemi były powozy służące do użytku publicznego. Tak zapewne myślał konduktor, który stojąc za powozem opierał się na skrzynce z bronią, gdzie leżała strzelba i sześć lub ośm nabitych pistoletów, jakoż zatapiał wzrok swój często w tych narzędziach wojny.

Jak wszędzie tak też na Dowrskim trakcie konduktor miał w podejrzeniu passażerów, podróżni na odwrót podejrzewali konduktora i jedni drugich wzajemnie, a pocztyljon dowierzał tylko koniom, których mógł bez grzechu zakląć jak mu się podobało, przysięgając na stary i nowy testament: że są zupełnie niezdolne do podróży. Kiedy powóz wydostał się już na szczyt wzgórza i zatrzymał się, a podróżni mieli wsiąść do niego, nagle konduktor wydał okrzyk przerażenia i oznajmił, że słyszy jakoby tentent kopyt końskich. Jeden z podróżnych skoczył na stopnie powozu, dwaj inni mieli ten sam zamiar na myśli, bo tuż stanęli już za nim, ale ów pierwszy pozostał na stopniu w zawieszeniu, pomiędzy powozem a ziemią, więc dwaj jego towarzysze musieli także pozostać w dawném stanowisku na drodze. Wszyscy spoglądali się to na konduktora, to znów na pocztyljona i słuchali pilnie. Pocztyljon spoglądał za siebie i konduktor także, a nawet koń lejcowy nieprotestował wcale, bo strzygł uszami i na tył odwracał głowę. Serca podróżnych biły tak mocno, że można było zapewne policzyć ich uderzenia ale w każdym razie, chwila tego spoczynku była nadzwyczaj wymowną i świadczyła o silném wzruszeniu osób, które z zatrzymanym oddechem i z gorączkowém drżeniem oczekiwały rozwiązania zapowiedzianéj sceny. *(D. c. n.)*

O PERŁACH.

Po wszystkie czasy różnorodne odzywały się głosy co do używania klejnotów. Niektórzy widzą w tém tylko gust dzikich ludzi do błyszczących przedmiotów, przeniesiony do ucywilizowanego społeczeństwa; kobiéta i kamień – co za przeciwieństwo! wołają młodzi mężczyzni ekzaltowani; drudzy narzekają na złożony w nich wielki kapitał martwy, zwłaszcza od czasu jak rozwinięty przemysł nauczył ludzi, że wszystko procentować powinno. Jednak ozdoby tego rodzaju muszą mieć swą stronę poetyczną, kiedy wielcy artyści-malarze nie wahali się unieśmiertelnić swym pędzlem piękności pereł, przeplatających krucze włosy, lub spływających na piersi w rozpierzchłych sznurach, ujętych misternie wyrzynaną ze złota i drogich kamieni spinką, a Jerzy Sand, która zwłaszcza we względzie ubrania, była zawsze bardziéj artystką niż kobiétą, chodziła bowiem dla większéj swobody często po męzku ubrana, powiada: „Nie znam wdzięczniejszego tworu ludzkiéj ręki, jak te kombinacje metali i drogich kamieni, przybierające najróżnorodniejsze i najpowabniejsze kształty, w tak drobnych rozmiarach" i daléj dodaje: „że lubiłaby umieć coraz to nowemi pomysłami, siłą cudów dobrego smaku, wlewać niejaki rodzaj życia w te kosztowne materjały." Te to ostatnie słowa powinna mieć przytomne każda kobiéta klejnotów używająca, że tylko cudem dobrego smaku, można z nich wdzięk i poezją wydobyć, artystycznie podnieść swe przyrodzone wdzięki, inaczéj, poobwieszawszy się niemi bez ładu, można wyglądać jak pogańskie bożyszcze. Pamiętajmy że *świecić*, to nie zawsze znaczy *ozdobić się* i że te błyskotki kładzione o każdéj porze dnia, do zaniedbanego zresztą ubioru, te olbrzymie kolczyki wysadzone na twarz z pod kapelusza, szpecą bardziéj niż zdobią, bo wykazują brak estetycznego usposobienia i jakieś dzikie w świecidłach upodobanie.

Lubo we Francji strojenie się klejnotami, popiera teraz moda, w Polsce niéma co o tém mówić, bo co się tycze prawdziwie pięknych pereł, możnaby łatwo policzyć panie, które je posiadają. Duże zwłaszcza i wyborowe są bardzo drogie i nie dla każdego dostępne. Lecz oto przemysł podsłucha niedługo pracowite badania nauki i zmusi gnuśnych mięczaków do wyrabiania pereł tak obficie, żeby niemi większą liczbę kobiét obdzielić można. Starzy chińczykowie, na których anglicy zrabowali patent nie jednego wynalazku, mogą być także nauczycielami obecnych pokoleń w téj mierze. Oni dawno wiedzieli sposób wdmóchiwania za pomocą słomki tłuczonego piaskowca we wnętrze muszli perłowéj, chwytając tę chwilę kiedy ogrzana promieńmi słońca otwiera nieco swe skorupy. Sławne są kamee perłowe, które z pomiędzy wszystkich produktów chińskiego przemysłu najbardziéj może zaciekawiały europejczyków, a których sposób wyrabiania długo pozostał dla nich niewiadomy, znać było tylko że je żadne dłuto nie dotknęło, a wyszły w rozlicznych kształtach gotowe z łona muszli. Nareście anglicy i amerykanie zamieszkali w Chinach, wykradli tajemnicę i zdradzili ją przed ciekawemi naturalistami. Przed kilkoma laty, na posiedzeniu towarzystwa akklimatyzacji w Paryżu, czytano rozprawę dwóch uczonych w tym przedmiocie, w któréj stało między innemi:

„Doktor Barthe raczył przesłać nam muszle dwuskorupnego mięczaka znajdującego się przy ujściu rzeki Ning-Po, a znanego pod imieniem anodonta. Muszle te które niedawno przywiózł z Chin, są prawie jednéj wielkości, lubo widać że do dwóch odmiennych osobników należały. Jedna z nich zawiera dwadzieścia dziewięć pereł wielkości drobnego grochu, przyczepionych do pokładu perłowéj macicy, jedne całą połową swoją, drugie zaś tylko małą częścią powierzchni. Wyjąwszy kilku, są prawie wszystkie okrągłe; w składzie ich niéma żadnéj systematyczności — tu skupione w gromadkę, tam rozpierzchłe pojedynczo, inne znów połączone cieniuchną niteczką z perłowéj macicy, wyglądają jak perły naszyjnika rozsunięte na sznurku. Wszystkie są białego, nieco żółtawego koloru, trzy tylko naznaczone szaremi plamkami.

We wnętrzu drugiéj skorupy, widzieć mo-

żna trzema ukośnemi rzędami ułożone dwanaście medalionów czyli kameów. W pierwszym rzędzie jest ich pięć, w drugim cztery, w trzecim trzy, a wszystkie jednakowe i średnica ich długości dwa centymetry wynosi, wypukłość zaś do jednego dochodzi milimetra. Wyobrażają śmieszną postać siedzącego chińczyka, z głową wciśniętą między ramiona, z rękami łukowato zaokrąglonemi, koło kulistego brzucha, z pod którego wyglądają nogi bardzo do siebie zbliżone.

Zachodzi pytanie jakim sposobem przyszli chińczycy do otrzymania tych pereł i tych medalionów?

W tym celu stłukliśmy jednę z pereł i znaleźliśmy w środku kamyczek drobny, jakby wycięty okrągło z jakiéj morskiéj muszli; osadzająca się na nim perłowa macica, utworzyła perłę, którą mieliśmy przed oczyma.

Następnie zajrzeliśmy do środka jednego z medalionów, gdzie znaleźliśmy blaszkę metalową, wypukłą z jednéj strony a z drugiéj wklęsłą. Metal zdaje się być tego samego gatunku co używany na herbatniczki chińskie, to jest mieszaniną cyny i ołowiu; przyłożony był do skorupy swą stroną wklęsłą, którą rozrastająca się co rok perłowa macica, cienką pokryła warstwą, tworząc niby odlew, zrobiony według metalowéj formy.

P. Barthe będąc chirurgiem na fregacie *Sybilla* w czasie swojéj podróży do Indji, widział podobne, tegoż samego gatunku skorupy, z płaskorzeźbami wyobrażającemi węże, drzewa, równianki kwiatów i t. p., a p. de Maisonneuve opowiadał nam o wężu skrzydlatym, długim na trzy centimetry w skorupie, która ich zaledwie sześć liczyła. Misterna forma, według któréj urobiły się jego kształty, była z drzewa wyciętą.

Chińczycy otwierają ostrożnie muszle anodontów, żeby ich nie skaleczyć i za pomocą kliników drewnianych utrzymują w pewném od siebie oddaleniu skorupy; wtedy zręcznie, stalowym rylcem robią nacięcie w perłowéj macicy i wciskają weń obce ciało mające być przyszłego klejnotu zawiązkiem, nasmarowane ażeby nie odpadło jakąś lepką materją, nierozpuszczalną w wodzie. W innych razach, przyklejają tylko do macicy perłowéj nie nacinając ją wcale te przedmioty, wyrabiane jak już powiedzieliśmy z drzewa, kamienia, lub metalu. Wsunięte z wielką ostrożnością, układają się pojedynczo lub gromadkami według upodobania; są różnego, albo też wszystkie tego samego kształtu. Po dokonaniu roboty, wyciągają się kliniki z pomiędzy skorup, a muszle składają w stosowném dla siebie miejscu, otoczone dla pewności zagrodzeniem z chróstu.

Tak pozostawione mięczaki — składają co rok nową warstwę perłowéj macicy, układającą się według rysunków form we wnętrze muszli włożonych, niby osady wapienne na powierzchni obcych przedmiotów, lub metal w odlewach galwanoplastycznych. Prosty to więc i łatwy sposób, lecz daje tylko perły przyczepione i płaskorzeźby w medalionach. Ażeby otrzymać *prawdziwe* perły, to jest doskonale okrągłe przez to że są swobodne w muszli, nie trzeba przyklejać do wnętrza skorup wciskanych pomiędzy nie przedmiotów, lecz raczéj wprowadzić je w łono samego zwierzęcia. Tylko że w przytwierdzeniu ich zajdzie trudność.“

Już uczeni robią próby w tym względzie i kto wié czy owocem ich doświadczeń nie będzie upowszechnienie pereł w stroju kobiét, tylko wtedy jak spowszednieją, gotowe je już nie znajdować tak pięknemi.

W jednym strumieniu Belgji, zwanym *Vierte*, znajduje się rodzaj muszli zawierającéj w sobie perły wprawdzie po większéj części brunatne, a nawet tak ciemnego jak mahoń koloru, mogą jednak być użyte do ozdób, tylko że nikt nie daje do wydobywania ich popędu, lubo ten łatwy przemysł mógłby zbogacić okolicznych mieszkańców. Naturaliści widzą nawet podobieństwo znalezienia w głębszych warstwach, pokładów muszel zawierających prawdziwie piękne białe perły.

J. Śmigielska.

O UBIORACH.

Już tedy magazyny nasze zaopatrzyły się w świeże zapasy towarów i wybór między niemi łatwy dla chcących odświeżyć swoją garderobę. A na wiosnę najoszczędniejsza kobiéta idzie do sklepów kupić jeżeli nie suknię to przynajmniéj kapelusz, dowiedzieć się czy zaszła jaka zmiana w kroju sukien lub jakie noszą okrycia, czy czasem w jéj zapasach ubiorów nie da się cóś na świeższy krój przemienić przez przerobienie, przedłużenie lub skrócenie. Otóż donosimy, że zbyt długie paletoty letnie zaczynają już wzrok razić, gdyż je noszą teraz krótsze ze ściętemi do łokcia rękawami. Wielki zapas takich paletotów czarnych jedwabnych, widziałyśmy w magazynach pp. Szlenkera i Włodkowskiego, w cenach od 160, do 300 złp. według gatunku materjału i dodanych ozdób. Są także paletoty ze spódnicami, czarne i popielate w różnych odcieniach, gustownie przybrane, a tworzące ładne ubranie na rano lub na ulicę po cenie od 110, do 150 złp. Oprócz jedwabnych paletotów nadeszły tańsze okrycia, dogodne szczególniéj na wiejskie przejażdżki, z wełnianych lekkich wyrobów popielatych, względnie do wielkości kosztujące od 40, do 100 złp., oraz wielkie zapasy wykwintniejszych okryć burnusowych i chustkowych. Burnus z dobrego *poult de soie* kosztuje rubli 27, obszerny burnus kaszmirowy około 22 rubli, za taki sam z dużym kołnierzem haftowanym jedwabiem i perełkami z lawy 26 rubli żądano, a za inny jeszcze ozdobniejszy, bo mający rodzaj peleryny spadającéj z tyłu nakształt kaptura, rubli 30. Wiele jest burnusów dłuższych i krótszych, mających po kilka fałdów z tyłu i przypominających dawne *talmy*. Okrycia w kształcie półchustki wyrabiają nawet z nieco cieplejszych jak kaszmir tkanin i obszywają plissą jedwabną zakończoną takąż samą *rurkową* (tuyauté) falbanką. Hafty i wyszywania sznureczkiem, nakrapiane perełkami z lawy lub ze stali, niezmiernie są w modzie; do tak ozdobionego kołnierza dodaje się (zwłaszcza do jedwabnego) koronka lub guipiura. Można téż powiedzieć że zarzucone kaptury znów wracają, widziałyśmy u p. Szlenkera okrycie kaszmirowe z podszewką jedwabną kosztujące 300 złp., które miało kaptur długi śpiczasty, cały nastrzępiony po obu stronach kutasikami w kształcie dzwoneczków, co wszakże bardziéj oryginalnie niż gustownie wyglądało. Mieszanie czarnego koloru z białym, ciągle w wielkiéj modzie, tak że nawet przysłane z Paryża burnusy i paletoty, są pod spodem obszyte w około na trzy lub cztery palce szerokiemi plissami białemi zupełnie, lub w czarne kratki, żeby za odwinięciem się burnusa ta białość odbijała. U p. Włodkowskiej pokazywano nam obszerne bareżowe czarne okrycie, z peleryną rozchodzącą się z tyłu we dwa zęby, a tak naszyte białém, że lubo wyglądało wcale świeżo i oryginalnie, niemniéj przeto przypominało katafalk. Mantylki czarne jedwabne, czasowo zarzucone znów się ukazały i to w dawno znajomym kroju *ponsza* lub kończatéj pelerynki obszytéj dużą falbaną. Z lekkiéj materji dostać je można za 13 i 15 rubli, z koronką zaś, frendzlą lub haftem, do 40 rubli w cenie dochodzą. Materjały jedwabne użyte na okrycia są: świetne połyskiem *poult de soie* i matowe *gros grain* droższe od pierwszego; w okryciach wełnianych kaszmir przeważa. Szale i chustki z tego wyrobu noszą zarówno młode i starsze osoby. Widziałyśmy w magazynie p. Szlenkera prześliczną chustkę z prawdziwego kaszmiru za 220 złp. ale także można tam znaleźć chustki gorszego gatunku, lubo wcale dobrze wyglądające, po złp. 36 i 40. Szale od złp. 72, dochodzą do 120. Za piękny haftowany żądają najmniéj 175 złp. Oprócz tego znajdują się chustki kaszmirowe haftowane z koronką po 170 do 200 zł. Haft mają najczęściéj atłaskowy w rzucik i bukiety, lub téż deseń grecki łańcuszkiem z jedwabiu i perełkami z lawy oznaczony, na podobieństwo tego który na tablicy naszéj znajduje się pod Nr· 17. Chustkę bez koronki a tylko z plissą jedwabną można dostać za 70 i 80 złp.

Jakie kapelusze będą nosić przeważnie w Warszawie, powiedzieć jeszcze stanowczo nie można, ale oglądałyśmy wzory przywiezione z Paryża przez panią Włodkowską i według nich wyrobione w jéj magazynie kilka kapeluszy, które wyznać trzeba, co raz mniéj podobne do tych, które nam miały zacieniać już nie mówię oczy, ale policzki przynajmniéj, albowiem z pod ronda w tył uciekającego, cała twarz wychodzi, tylko wierzch uwieńczony pękiem kwiatów, piór lub wstążek, przypomina raczéj jakiś kaszkiecik strojny. Nie jest on jednak bez wdzięku na niektórych twarzach i przy stosownie, to jest, gładko w karby (wydające się jak loczki) zaczesanych włosach. Przy jednym kapeluszu przygotowanym do wyprawy, naliczyłyśmy siedm dużych białych róż u wierzchu i jeszcze do tego pióra a przecież ładnéj pannie młodéj, było w nim wcale do twarzy. Może w tém, cały sekret że młoda i ładna. Widzieliśmy oprócz tego prześliczne kapelusze białe pokryte czarną koronką, z karczkiem utworzonym z koronkowéj także falbany w zęby, u których umieszczone na wierzchu gałęzie bzu białego, lub czarnych kłosów pęki, przechylając się przez rondo na garnirowanie

z blondynki, zdawały się chcieć zaglądać w oczy powabnym twarzom które zdobić miały. Podobały nam się na mniéj strojnych kapeluszach ozdoby z czarnéj wstążki przypominające kwiat piwonji. Są to oddawna znane *choux*, pęki wstążek przyszyte na okrągłéj podstawie z muślinu lub innéj materji, tylko tu te pęki utworzone z samych końców wstążki wybornego gatunku więc sztywnéj, a tak głęboko wyciętéj w zęby, że te jak liście wyglądają, (dwa jeżeli wstążka wązka, trzy jeżeli szersza). Przygotowano także u p. Włodkowskiéj, znaczny zapas kapeluszy okrągłych z cienkiéj słomki czarnéj, dla młodych panienek. Są tam dawniéj znane kształty: *écossais, imperatrice*, i t. p. i jeden nowy, a najwięcéj cieniu na oczy dający, z rondem, które przedzielone niby dwa daszki, naprzód i na tył głowy spada. Taki kapelusz zwany *marguerite*, bez ubrania kosztuje rubli 7, zaś z ubraniem z piór i aksamitu do 12 i 15 dochodzi, jest bowiem z wyborowego gatunku słomki.

Ależ, zapytają mnie poważne prostotą lub wiekiem czytelniczki *Kółka*, przeczytawszy opis tych kapeluszy, cóż dla nas będzie? dla nas, co nie chcemy ani zwracać oczu, ani stroić się, tylko ubierać skromnie. Pospieszamy odpowiedzić im, że nie zrywając zupełnie z kapryśnicą modą, można rozsądkiem zwalczyć jéj upór, tu zniżyć, tu dodać trochę i otrzymać kapelusz nie rażący a piękny. Lecz przypominamy tutaj zarazem, że te piękne z doborowych materjałów są droższe bo po złp. 70, 80 i 120 nawet, jeżeli z kosztowniejszą koronką.

W ubraniach na głowę także mała zaszła odmiana. Diademy lubo jeszcze noszone nad czołem, zsuwają się powoli na bok i elegantki układają włosy tak, żeby były z jednéj strony niżéj, a pęk kwiatów lub wstążek z téj właśnie sterczał strony. Do takiego rodzaju ubrania dobrze przypadają wyżéj wspomniane kokardy ze wstążki nacinanéj w zęby, a włosy muszą być ułożone także na wierzchu głowy, w pukielki czy loczki, policzki zaś pozostają zupełnie odkryte, co nie każdemu do twarzy. Widziałyśmy u p. Włodkowskiéj prześliczny stroik dla młodéj mężatki, w kształcie czepeczka, którego całe denko zagarnirowane tiulem jedwabnym, z tyłu zostawione miejsce puste na pukle warkocza, nad czołem wznoszą się białe róże z czarnemi listkami, od których idzie gałęź z pączkami na półzamkniętemi w swych kielichach także czarnych, zakończona w tyle poniżéj warkocza kokardą i liśćmi. Kwiaty te mają jakiś smętny wdzięk, co się podoba oryginalnością swoją. Za czepeczek żądano 10 rubli. W téj saméj cenie ubiorek na głowę zarówno nam się podobał. Był ułożony z konwalji, któréj każda gałązka spoczywała na dużym, misternie wyrobionym, czarnym aksamitnym liściu. Czepeczki skromniejsze widziałyśmy ubrane czarnemi i białemi wstążkami, dobrze też wyglądały czarne wszywki, podszyte białą wstążeczką i krzyżujące się na białym tiulu czepków. Przytém wszywka, obszyta zawsze z obu stron czarnym brzeżkiem w ząbeczki. Takiemi wszywkami tylko szerokiemi na dwa palce, widziałyśmy ubraną wspaniałą suknię z popielatéj mory, co bardzo pięknie wyglądało. Inna suknia z gęstego moheru w prążki popielate z białym, wygarnirowana była u dołu plisami półkulistemi z czarnéj jedwabnéj materji, szerokiemi na trzy palce w liczbie dziewięciu, to jest po jednéj na każdym wązkim brycie; te półkoła, wypełnione były sześcioma rurkowemi falbankami z téj co suknia materji, na które spadała czarna frendzla karbowana, przeszło dwa cale szeroka, a przyszyta do plisy, między każdém zaś półkolem wznosił się do połowéj spódnicy pas czarny przystębnowany, tak samo jak i plissy, po dwóch stronach białym jedwabiem (*patrz rysunek oznaczony na tablicy Nr.* 11). Druga suknia ze zwyczajnego popielatego bareżu, miała trzy ćwierci łokcia szeroką falbanę tak zwaną fałszywą, to jest przyszytą do krótszéj spódnicy, jeden tylko bryt z prawego boku szedł całkowicie do góry. Na tym brycie i na téj falbanie naszyte były podłużnie, w dwu calowych odstępach, o pół węższe pasy czarne jedwabne, a w około po nad falbaną szła bareżowa wązka falbanka, przemarszczona przez środek i po dwóch brzegach oszyta koroneczką (*patrz na tablicy Nr.* 12). Jest to rodzaj wystroju który każda z czytelniczek najłatwiéj może dokonać w domu, a nawet tanio, jeżeli ma jaką czarną suknię podszarzaną, którąby można w pasy pokrajać, gdyż inaczéj zdarza się często że wystrój kosztuje więcéj niż materjał na suknię.

Daléj obejrzałyśmy dwie szknie czarne bareżowe, z których jedna (*patrz Nr.* 13) miała plisy jedwabne obszyte frendzlami, a ułożone na spódnicy w taki sposób, że dwie okalające ją z przodu ginęły z tyłu nakryte drugiemi dwoma przyszytemi w ząb, niby brzegi chustki spuszczonéj. Druga suknia (Nr. 14) obszyta była dwoma rurkowemi (tuyautés) falbankami, po nad któremi szły jedwabne plisy, bryty przedzielone były wyżéj niż do połowy wysokości spódnicy, pasem z jedwabnéj materji na dwa palce szerokim, a na każdym wznosiły się, tworząc kąt roztwarty trzy plisy krótkie, jedna nad drugą, obszyte od dolnéj strony wązką rurkową falbaneczką z bareżu. Nadmieniamy tutaj, że suknie tak wygarnirowane robią się ciężkie mimo lekkości materjału, ale też nie mało na strojności zyskują. Numerem 15tym oznaczyłyśmy na tablicy garnirowanie bardzo jak to mówią, praktyczne, bo mogące posłużyć w razie potrzeby do przysztukowania zbyt krótkiéj spódnicy, którą się wycina w zęby głębokie na wysokość czterech cali i obszywa

czarną wstążką, lub pasem przeszło cal szerokim, załamanym u góry w kwadracik. Pod spodem zaś, u wycięcia zębów, daje się falbana na 8, lub 9 cali szeroka. Widziałyśmy takie garnirowanie u otwartego szlafroczka, którego przód po prawéj stronie, ubrany był czarnemi kokardami. Inne na popielatéj jedwabnéj sukni składało się z trzech pasów, na półtora cala szerokich, tworzących razem jedną plisę. Z tych dwa czarne po boku, a jeden w środku biały, na każdym zaś wyszyty desenik tasiemeczką, białą na czarnych, a na białym czarną. Ta gustowna plisa była przyszyta na przeszło cal odległości od brzegu spódnicy. Staniki zawsze z przodu zapinane, stroją odpowiednio do spódnicy w pliski jedwabne poprzecznie naszyte, (brandebourg) w guziki duże, lub w tak nazwane berty, do których chętnie wracają, gdyż są dla szczupłych figur korzystne. Robią je śpiczaste, aż do samego stanika dochodzące, lub wycinane w kanty. Małe bawety pokazują się téż po trochu. Rękawy przypominają często męzkie krojem, zwłaszcza u sukien mniéj strojnych. Szerokie otwarte zupełnie zarzucono. Zdobią je często po obu końcach rodzajem wyłogi, tworzącym u góry epolet. Rysunek oznaczony na tablicy Nr. 16, daje wyobrażenie rękawa najnowszego kroju, krajanego u góry znacznie szerzéj jak u dołu i przepiętego czterema fałdami, zwróconemi wszystkie w jedną stronę, od pleców do przodu.

Wielki w tym roku przywieziono zapas fularów. Sztuczka na dostatnią suknię kosztuje 150 złp. a desenie na czarném tle przeróżne. Takie rzuciki mniejsze i większe srebrzące się połamanemi linjami, uważałyśmy i na droższych materjach jedwabnych, zwanych we Francji od swego deseniu *varsovienne*. Suknia z nich kosztuje od 300 do 400 złp. Wspaniałe suknie z mory starożytnéj, na których migocą się greckie desenie, niby fale błyskotliwe, kosztują po 500 złp. sztuka. Ale p. Włodkowski sprowadził i tanie materjały szczególniéj z lekkich. Bareże zwyczajnéj szerokości w popielaty deseń po 40 gr. łokieć, inne szerokie cztery łokcie, po 6 złp. w lepszym gatunku węższe po 3 złp. i 3 gr 10. Mohery popielate, rodzaj przezroczystéj ale gęściejszéj tkaniny, półtora łokcia szerokiéj, po 3 złp. gr. 10 łokieć. Całe suknie po siedm brytów mające z takiego moheru *robes soutachées* zwane, dla tego że na nich odbity czarno deseń zastępujący wyszycie tasiemeczką, kosztują złp. 90 sztuka. W magazynie pana Szlenkera oglądałyśmy piękne materje wełniane czarne, nakrapiane biało drobnym rzucikiem, po 6 złp. łokieć; tak zwane *parisienne i venitienne* gęste i cienkie a szerokie blisko dwa łokcie, po cenie od 7, do 9 złp. łokieć. Inne nieprzezroczyste a lekkie i świecące *taffetas laine*, szerokie na półtora łokcia, po cenie 5 gr. 15 do 7 złp. tudzież ładny materjał zwany krepą wełnianą na siedm ćwierci szeroki po 6 złp. łokieć.

Dodajemy tu nieskończone w przeszłym numerze o meblach szczegóły.

Na pokrycie mebli oglądałyśmy w magazynie p. Szlenkera różne piękne rzeczy w rozmaitych kolorach, jako to: aksamity tureckie gładkie i w deseń, łokieć po złp. 16, szerokości łokieć jeden, daléj reps wełniany gruby i sztywny po tejże cenie lecz dubeltowéj szerokości, adamaszek wełniany z jedwabiem również szeroki i w równéj cenie, adamaszek czysty wełniany po złp. 12 i 13 gr. 10, prunelę białą w różnokolorowe kwiaty po złp. 9 i 12, półtora łokcia szeroką, oraz piękne perkale w różne wzory po złp. 3 i 3 gr. 10, oraz po 50 groszy.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Nr. 1. Szlak do Alby, aplikacja muślinu na tiulu koronkowym.

Nr. 2. Rękaw składający się z dwóch części do kaftanika korcikowego.

Nr. 3. Połowa pleców kaftanika.

Nr. 4. Przód kaftanika.

Nr. 5. Połowa rękawa zwanego kontuszowym.


Nr. 6. Obcisły rękaw wychodzący z pod rękawa kontuszowego w miejscu oznaczoném kropkami.

Nr. 7. Mankiet do wierzchniego rękawa.

Nr. 8. Pantofel wyszywany kolorową tasiemeczką.

Nr. 9. Figura kaftanika dziecinnego, szydełkowym ściegiem zwanym Tunetańskim, którego opis daliśmy w poszycie 8 na Listopad.

Nr. 10. Figura kaftanika przed spojeniem boków i rękawków. Porządek całéj roboty jest następujący: Zrobić trzeba najpierw łańcuszek z oczek trzydziestu, na nim zaś przerobić rzędów 24. Znów przyrobić łańcuszek z oczek 30 przy końcu i przy początku druta szydełkowego i na 90 oczkach zrobić rzędów 10 a będzie skończony prawy rękawek i ramiączko. Daléj zrobić na 40 oczkach rzędów 12, to będzie połowa plecków, zakończyć nitkę i odłożyć robotę na bok. Osobno zrobić łańcuszek z oczek 30 i na nich 12 rzędów na drugą połowę plecków, nabrać i te 10 oczek na łańcuszku u przodu kaftanika, daléj nabierać i tamte 30, to będzie na szydełku oczek 90, to jest tyle co i ztamtéj strony było, na nich zrobić rzędów 10, zakończyć i znów robić osobno na środkowych oczkach 30tu, rzędów 24, na rękawek lewy. Wszystko potem spaja się zwyczajnym sposobem, można ozdobić szyjkę i rękawki koroneczką szydełkową.



KÓŁKO DOMOWE
Miesiąc Maj 1862 r.
Bibl. Univ. Jagell.
N° 8.
N° 6 Rękaw Suchy
N° 10.
podcięcie.
N° 18.
N° 15.
N° 7. Mankiet.
N° 5. Środek Rękawa długiego.

